TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II. Nr.32-35. 151 East 67 Street,New York,N.Y. 13.VIII.1942

NA ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO 15 SIERPNIA.

15-go sierpnia.

Piętnastego sierpnia jest dlatego świętem żołnierza, że w dniu tym żołnierz ocalił Polskę i uratował los narodu. Dwadzieścia jeden lat temu żołnierz rozpoczął bitwę, od której zależało wszystko, i przesądził o wygraniu wojny. Polska pokonała Rosję.

Było to zwycięstwo bezwzględne i tem bardziej porywające że odniesione w chwili - zdawało się - ostatniej. Wróg ciągnął od Wschodu ławą na całej przestrzeni naszych ziem, docierał prawem skrzydłem pod Toruń, lewem pod Lwów, w środku uderzał na Warszawę. Wtedy właśnie, gdy związany bojem na przedpolach stolicy przypuszczał najzacieklejsze szturmy, gdy atakował Radzymin i wdzierał się pod Pragę, wyszło z flanki przeciwuderzenie polskie, zaczęła się wielka ofenzywa 1920 roku.

Z okolic Dęblina i rzeki Wieprza oddziały polskie ruszyły kierując się na północny wschód, na tyły Rosjan atakujących Warszawę. Uderzenie było nieoczekiwane i skutki miało miażdżące. Dywizje nasze rozbijały w puch całe armie wroga, biorąc jeńców tysiącami i zagarniając łup nieprzebrany. Wczorajszy zwycięzca, który już gotował sztandary, by zatknąć je na wieżach warszawskich, uciekał teraz w popłochu i w bezładzie. Odcinek po odcinku i dzielnica po dzielnicy otrząsała się ziemia polska z najeźdzcy, jak z nalotu szarańczy. Chłopi wyprowadzali z lasów bataliony jeńców, miasta sypały kwiaty pod nogi oswobodzicielom, przez cały kraj wiało tchnienie chwały i szczęścia. Czołowe oddziały wojsk parły naprzód w niepowstrzymanym porywie i nad Niemnem odniosły drugie, świetne i ostateczne zwycięstwo, obok bitwy nad Wisłą największy triumf polskiej broni.

Zwycięstwo nad Rosją, rozpoczęte walkami 15-go sierpnia 1920 roku, budzi w Polakach dumę zasłużoną i nieprzemijającą. Jest ono własnością całego narodu, powstało z wysiłku wszystkich i świadczy o niewyczerpanych siłach polskich, Plan uderzenia, wyraz geniuszu wojennego Polski,

obmyślił, przygotował i przeprowadził wódz naczelny, Józef Piłsudski. Tę polską myśl obronną ucieleśnił w walkach krwawych lecz bez wyjątku zwycięskich nieprześcigniony polski żołnierz. Pod znakiem wojskowym zgromadziły się wszystkie warstwy narodu, spieszące do szeregów w ochotniczym zaciągu. Pozbawieni pomocy z zewnątrz, gdy sąsiedzi zatrzymywali transporty z bronią wysłane do Polski morzem i kolejami, sami stawiliśmy czoła niebezpieczeństwu i sami daliśmy sobie radę. Jeśli ktoś zaliczy naszego przeciwnika nie do najprzedniejszych, pamiętajmy że walczyliśmy gdy państwo nasze istniało zaledwie drugi rok, walczył naród zmęczony poprzednią czteroletnią wojną, walczył kraj wzdłuż i wszerz zniszczony jej zagonami.

Nic nam nie odejmie poczucia słusznej dumy, nic jej nie pomniejszy ani nie zaciemni. Polska wykazała wówczas moc, która nawet w najstraszniejszych próbach staje się źródłem otuchy i utwierdzeniem wiary w siebie. Za armią polską znalazł się zjednoczony naród, tak jak dziś jest zjednoczony kraj w walce z nowym najeźdzcą. Wszystkie najlepsze siły stanęły do obrony, bez różnic politycznych, bez dociekań i rozpraw przeciwniczych, pogodzone wielkodusznie, z mądrą i jedyną myślą o wspólnej, najważniejszej sprawie.

Aż nadszedł dzień zwycięstwa, który opromienił miecz wielkiego wodza, broń wiernych żołnierzy i życie wszystkich Polaków. Był to dzień upajający. Zwycięstwo oznaczało nietylko rozbicie wroga lecz i utrwalenie wolności. Stało się nigdy nieprzedawnionem świadectwem mocy narodowej. Świecić będzie zawsze jak wieczna polska latarnia nad morzem historii.

Rzeczpospolita ofiarowała ten dzień żołnierzowi, bo słusznie dar taki mu się należał. Dziś w katakumbach kraju z pewnością łączą się wszystkie myśli polskie z żołnierzem. Podziemia polskie przebiega szept o jego męstwie i o jego chwale. Pamięć polska szuka jego rozwiniętych zwycięsko sztandarów. Serca polskie przenika nadzieja, nadzieja niezłudna, bo świadoma nauk przeszłości.

I z pewnością cała Polska pełna jest dziś jednego życzenia: by zwycięski ten żołnierz wrócił czemprędzej w bohaterskie mury Warszawy, pod polskie orły na gdańskich kościołach, do nadjeziornych miast mazurskich, które czekają nań od setek lat, do Poznania, do Krakowa i do dwu twierdz na polskim Wschodzie, zapatrzonych jak nikt w zwycięstwo 1920 roku, do Lwowa i do Wilna.

Kazimierz Wierzyński

W y s i ł e k z b r o j n y P o l s k i.

Jak do tego doszło? Jak powstała po takiej strasznej klęsce w Polsce armia, największa jaką kiedykolwiek Polacy stworzyli poza granicami swego kraju? Jak doszło do tak fantastycznych, przechodzących najbujniejszą wyobraźnię rejestrów służb żołnierskich?

Dokładną odpowiedź da dokładniej opracowana, kiedyś w przyszłości historia dzisiejszej wojny, gdy umilknie szczęk pancernej broni i warkot bombowców i gdy udostępnione zostaną badaczom archiwa, rozproszone po wszystkich krańcach świata. Dziś wystarczy powszechnie uznane za prawdę stwierdzenie, że Armia Polska, pokonana we wrześniu 1939 r. przez

miażdżącą liczbę wroga, nie złożyła broni, nie straciła ducha walki i nie pozostawiła cierpiącego pod okupacją kraju bez obrony. Ci wszyscy, którzy uniknęli niewoli lub z niej uciekli, przez Węgry i Rumunię przedostali się do Francji, gdzie wraz z emigrantami z Polski, osiadłymi od kilku lat na roli, przy fabrykach i kopalniach, odrodzili armię, na czele której jako Wódz Naczelny stanął generał Władysław Sikorski.

W niespełna pół roku od ataku niemieckiego na Polskę, bo już w maju 1940 r., gen. Sikorski dysponował dywizją grenadierów, dywizją strzelców pieszych, samodzielną brygadą pancerną i samodzielną brygadą strzelców karpackich. Równocześnie we Francji i Anglii formowało się polskie lotnictwo, które odznaczyło się w tym czasie w obronie lotniczej Paryża i w walkach nad frontem, ani na chwilę zaś nie zaprzestała walki flota polska i ani na chwilę nie zawiesiła pracy nad przygotowaniem wspólnego zwycięstwa aliantów polska marynarka handlowa.

"Za waszą i naszą wolność" - to stare hasło polskich powstańców, którzy w okresie walki o ideały demokratyczne w Europie, w wieku XIX, spieszyli wszędzie, gdzie szedł bój o wolność, przewodząc powstaniom wszystkich ludów walczących z tyranią - teraz znów prowadzi wojsko polskie, pełne świadomości, że los Polski rozgrywa się wszędzie, gdzie przemoc walczy z wolnością.

Wszystkie oddziały armii lądowej polskiej wstępują do działań wojennych skoro tylko otwiera się ku temu możliwość i wszystkie tylko z największą chwałą wychodzą z tych bitew. Po ciężkiej zimie w obozie ćwiczebnym w Coetquidan, Bretania, gdzie zimny wiatr hulał swobodnie po starych koszarach francuskich, gdzie mało było koców do okrycia, mało nawet tych letnich drelichów, mało nawet broni - żołnierz polski odrodzony i dumny, z pieśnią na ustach rusza w nowe boje, które jak legenda Piramid, jak egzotyka San Domingo, jak brawura Samo Sierry, jak Kaniów i jak Murmańsk wchodzą na złote karty polskiej historii wojennej.

Brygada Strzelców Podhalańskich pod dowództwem gen.Szyszko-Bohusza walczy w Norwegii i odznacza się w ataku na Narwik, zapisując do dziejów polskich kartę współpracy wojskowej polsko-norweskiej. Brygada Pancerna pod dowództwem gen.Maczka bierze udział w jednej z najkrwawszych bitew we Francji, wykonuje z niebywałem bohaterstwem aż do zupełnego wyczerpania się sprzętu wśród najcięższych strat swe zadanie - i zyskuje pochwałę w ostatnim komunikacie Francuskiego Sztabu Generalnego przed zawieszeniem broni. Pierwsza Dywizja Grenadierów pod dowództwem generała Prugar-Kettlinga i Pierwsza Dywizja pod dowództwem gen.Ducha, walcząc na Linii Maginot'a, trwają do końca na powierzonych im posterunkach, zyskując zaszczytne cytacje w rozkazach dziennych francuskich. Jak bardzo bohaterstwo Polaków stało się legendarne podczas kampanii francuskiej, dowodzi m.in.fragment książki znanego pisarza francuskiego Rene Benjamin "Le printemp tragique", który opisując obronę miasta Tours - jedyną obronę miasta francuskiego w tej wojnie - notuje, iż cała ludność była przekonana, że to generał polski dowodzi tą obroną.

Ani wysiłki tych Francuzów, którzy usiłowali podtrzymać tradycję Pierwszej Wojny Swiatowej, ani bohaterstwo Polaków, którzy znowu mieli możność wojskowego spotkania z wrogiem, nie zapobiegły temu, co się stało. Około połowy czerwca stało się jasne, że Francja wycofuje się z grona aliantów, że ciągły pochód Niemców w głąb ziemi francuskiej nie jest "włażeniem w pułapkę", ale że to jest po prostu dowodem załamania się ducha bojowego Francji.

Dnia 13 czerwca gen.Sikorski miał rozmowę z gen.Weygand, spodziewając się, że zgodnie z oświadczeniem francuskiego premiera Raynauld, wojsko będzie trzymać Paryż, a potem ustali linię obrony na Loarze.

W czasie tej rozmowy Weygand odpowiedział z rezygnacją:
- Armia francuska straciła wiarę w skuteczność oporu...
- Przecież pod Warszawą w r.1920 było gorzej niż pod Paryżem w r. 1940 - próbował przekonywać gen.Sikorski, Weygand jednak zwiesił tylko smutnie głowę...

W tej chwili stało się jasne, że armia polska, z takim trudem powołana na nowo do życia, i rząd polski z Prezydentem - widomy znak niepodległości Polski - znalazły się w dramatycznej sytuacji, która może zaważyć decydująco na losach narodu. Stało się również jasne, że jeśli rząd i armia polska nie mają się znaleźć w całości w niewoli, trzeba bez zwłoki zdobyć się na błyskawiczne decyzje. Trzeba...ale jak działać przeciw temu ubezwładniającemu nurtowi, jaki porwał wielki naród?

1 Dywizja Piechoty gen.Ducha walczyła na północnym wschodzie, 2 Dywizja Piechoty gen.Prugara była w tym czasie w rejonie umocnionym Belfort i przebijała się do Szwajcarii; Brygada Górska - po powrocie z pod Narwiku - lądowała właśnie pod Brest nieomal na oczach nacierających Niemców; Było już wiadomo, że zawieszenie broni pociągnie za sobą okupację atlantyckich brzegów Francji, jedynej drogi w wolny świat.

Po krótkiej, pełnej historycznego patosu rozmowie z Petain - gen. Sikorski wsiada do samolotu, by udać się do Londynu i tam zagwarantować armii i rządowi możność prowadzenia dalszej walki z Niemcami. W ciągu jednego dnia całkowite porozumienie zostało osiągnięte, rozkazy wydane i jeszcze tego samego dnia od godz.7-mej wieczorem statki angielskie zaczęły ewakuację pierwszych oddziałów polskich z południowo-zachodnich portów Francji.

Zostały wydane uprzednio rozkazy do pierwszej i drugiej dywizji, które miały przebijać się do portów francuskich, a jeśli nie będzie można - przekroczyć z bronią granicę szwajcarską; do Brygady w Syrii, by na wypadek przyjęcia przez tamtejsze władze francuskie zawieszenia broni, przedzierała się do Palestyny; oraz gdzie się tylko dało instrukcje dla urzędów i ludności cywilnej. Dzięki pomocy flot angielskiej i polskiej - ewakuacja wojsk polskich z Francji, tych które zdążyły dotrzeć do portów przed oddaniem ich przez Francuzów Niemcom, przeprowadzona była w rekordowym tempie. W ciągu pięciu dni okręty przewiozły do Anglii 34 tysiące żołnierzy polskich.

Z klęski francuskiej Polacy uratowali armię i rząd.

Rząd polski na terenie Anglii utrzymuje stały kontakt z krajem i przygotowuje w porozumieniu z sojusznikami podstawy przyszłego ładu politycznego i gospodarczego w Europie.

Armia? Armia zapisuje nowe karty...

W Szkocji część frontu nadbrzeżnego trzyma korpus polski w składzie kilku wielkich jednostek starego, dobrze wyszkolonego żołnierza, w dużej części weteranów z wojny wrześniowej, z walk we Francji i pod Narwikiem. W skład tego korpusu pod dowództwem gen.Kukiela, wchodzi słynna Brygada Pancerna gen.Maczka, która prawie cała wraz ze sztandarami,przeszła po walkach w Polsce przez Węgry do Francji a potem do Anglii.

Brygada Karpacka pod dowództwem gen.St.Kopańskiego, znajdująca się w chwili rozejmu francusko-włoskiego w obrębie armii syryjskiej,przechodzi do Palestyny i tam łączy się z armią gen. Wavell'a, a później bierze sławny udział w walkach libijskich, pod Tobrukiem i na pustyni. Żołnierze ci, prawie wszyscy wśród niewypowiedzianych trudności i przygód, przedarli się z okupowanej Polski, by móc dalej walczyć o wolność.

Teraz z kolei lotnictwo polskie powołane jest do szczególnie odpowiedzialnej służby, którą wykonuje w sposób budzący najwyższy podziw u Anglików. Lotnictwo polskie wyróżniło się chlubnie w obronie Londynu

jesienią 1940 r., kiedy to jeden tylko dywizjon warszawski imienia Kościuszki zestrzelił między 30 sierpnia a 7 września 1940 r., około 150 samolotów nieprzyjacielskich.

Poza udziałem w bitwie o obronę Londynu w jesieni 1940 r. lotnictwo polskie w r.1941 odznaczyło się dużą odwagą pościgowców i upartą niszczycielską pracą polskich załóg bombowych. Lotnicy mają w tym okresie ponad dwieście wypraw bombowych nad miasta i fabryki niemieckie i codzienne niemal zagony pościgowców nad okupowaną Francją i Belgią. Ponad 500 strąconych przez Polaków samolotów niemieckich, świadczy o rezultatach tych wypraw. Suma ta stanowi znacznie więcej niż 30 procent wszystkich na zachodnim froncie strąconych samolotów niemieckich.

Polskie siły morskie stale są wyróżniane w komunikatach sztabów flot alianckich. Słynna rola "Pioruna" w walce z "Bismarkiem", sukcesy polskich łodzi podwodnych, nieustanna praca polskich jednostek floty wojennej i handlowej, trwają bez przerwy.

Brygada gen.Kopańskiego w Afryce zyskuje sławę wojenną. Obrona Tobruku, szturm na El Gazela, pochód w pustynię libijską, akcje lotników polskich w Afryce, które wywołały słynne powiedzenie gen.Cunninghama: "Dajcie mi po trzech polskich lotników do każdej eskadry", oto fragmenty epopei Brygady Karpackiej.

Po odrodzeniu armii polskiej we Francji i po ponownej reorganizacji w Szkocji, w Rosji powstaje armia polska pod dowództwem gen.Andersa, złożona z jeńców i zesłańców polskich. Armia ta składa się z kilku wielkich jednostek.

Z krajów okupowanych przez Niemcy - jedynie Polacy potrafili wystawić w obecnej wojnie armię, liczącą około 200.000 żołnierzy.

Pielgrzymstwo szpady polskiej.

Przeszło 150 lat rycerskiego pielgrzymstwa po dziejach wojennych świata stanowi chwałę szpady polskiej. Przeszło 150 lat znaczy ona bohaterskimi czynami swoją obecność na bliskich i dalekich polach bitewnych obcej historii. Uszła wówczas z Polski, by nie dostać się w niewolę. To sprawiło, że wróg najechał wprawdzie Polskę i nawet Ją podbił, ale nie zwyciężył Jej i nie pokonał. Ocalała bowiem szpada polska. Ocalała, by nadal móc walczyć. Uszła, by zwycięską powrócić. Rozpoczęła długą, ofiarną, pełną męki tułaczej i chwały niespożytej wędrówkę błędnego rycerza. Jeszcze przed proroczem nakazaniem z Mickiewicza "Ksiąg Pielgrzymstwa" stało się hasło walki o wolność innych narodów parolem walki o wolność własnej ojczyzny.

"Za waszą i naszą wolność!" - takie było zawołanie sztandarowe wielu, bardzo wielu pokoleń żołnierza polskiego na obczyźnie: Kościuszki i Pułaskiego w Ameryce, Dąbrowskiego i Poniatowskiego za Napoleona, Bema i Dembińskiego na Węgrzech, Mierosławskiego czasu rewolucji niemieckiej 48-go roku, Czajkowskiego-Sadyka paszy i jego mołojców tureckich, Haukego i Wróblewskiego przy obronie Francji 1871-go roku, legionistów Zamoyskiego, Garybaldczyków, Bajończyków... Przeszło 150 lat najchlubniejszego z rodowodów rycerskich mają żołnierze Brygady Karpackiej, co pod murami Tobruku sławą niezmierną się okryli, mają lotnicy Dywizjonu

Historia pisze dziś nową kronikę rycerską pielgrzymstwa szpady polskiej. I znów żołnierz polski, walcząc na obczyźnie o wolność własnego narodu, ginie w obronie wolności innych narodów. Jak walczy i jak ginie?

4..-y pułk piechoty francuskiej cofa się w kierunku miasta B...t. Pułkownik powziął na własną odpowiedzialność taką decyzję, przekonany,że tam niema jeszcze Niemców. Za wszelką cenę chce uniknąć spotkania z nimi. Myśli jedynie o tem, jak ujść niewoli. Wie, że na walkę ważyć się nie może. Wie, że do walki wcale nie dojdzie. Wie od chwili, kiedy ogarnął wzrokiem te, coraz bardziej bezkształtne, wciąż wydłużające się szeregi powłóczących nogami żołnierzy. Takie wojsko zdolne jest tylko do odwrotu. Stary pułkownik zsiadł z konia i, boleśnie zrezygnowany, maszeruje obok swoich żołnierzy. To jeszcze ma pozory odwrotu, ale gdyby nagle zaszedł im drogę nieprzyjaciel... Wzdrygnął się stary pułkownik, przejęty strachem. A przecież nie był tchórzem - świadczyły o tem dwa rzędy wstążeczek orderowych na mundurze: odznaczenia bojowe za walki w koloniach, za wojnę poprzednią. Wzdrygnął się z obawy, że to już nie będzie konieczność odwrotu, ale hańba ucieczki, jeżeli Niemcy z nienacka, tam na zakręcie..

Tam, na zakręcie odcinają się w świetle zachodzącego słońca kontury oddziału czołgów, ustawionych wzdłuż drogi. A więc stało się... Złowróżbne milczenie. Gdyż oto jest najgorsze, co spotkać mogło pułk. I nagle: "Panie pułkowniku, to nie są szwaby, to jest oddział polskich czołgów. Przecież słyszę i rozumiem, jak pomiędzy sobą tam rozmawiają"- melduje lekarz G., sam pochodzenia polskiego. Poczem zbliża się do czołgów i pyta: "Co wy tu, chłopcy, robicie?". Odpowiedź pada jasna i wyraźna:" Szykujemy się na Niemców. Francuzi wieją na całego, a przecież ktoś musi z Niemcami się bić. Wasza sprawa - uciekać; nasza sprawa - bić się. Ale szorujcie prędko, bo szwabów tylko co patrzeć..."

Dr.G. powtórzył pułkownikowi jaknajdokładniej i dosłownie całą odpowiedź polską. Naprzód zczerwieniała a potem zszarzała twarz starego pułkownika: "Dostajemy od Polaków zasłużoną lekcję ofiarności patriotycznej i powinności żołnierskiej". Przechodzącym obok czołgów polskich żołnierzom swoim nakazał prezentować broń.

Takich nieznanych rapsodów bohaterskich ileż posiada epopea obecnego pielgrzymstwa szpady polskiej?!...

Zygmunt St.Klingsland

S i ł a   b o j o w a .

Deszcz mżył, noc była piekielnie ciemna, pod nogami chlapało błoto, bo szliśmy przez jakieś bezdroża, a jednak wszyscy byli weseli. Niósł sobie każdy cały swój majątek w małym zawiniątku pod pachą i ani mu przez myśl nie przeszło żałować swego auta czy mahoniowych mebli. Nie miał nawet nadziei, że kiedyś zobaczy jeszcze kogo ze swoich, a nic nie dał poznać po sobie i głośnym śmiechem wybuchał, gdy sąsiad wlazł w kałużę. Tak trzeba, bo inaczej - serce mogłoby pęknąć! Zwłaszcza, że jakieś ukryte przeczucie mówiło, że to dopiero początek. Że czeka długa, długa wędrówka po wielu krajach i kontynentach, na którą trzeba wiele w tym sercu siły. Dziś jedni z tej gromady, do której mnie przydzielono, są w Palestynie, inni w Egipcie, inni w Anglii, inni w Ameryce, inni w

Szwajcarii, inni już znowu w niewoli niemieckiej, a inni dotarli do kresu wędrówki.

Szliśmy szybkim krokiem już trzecią godzinę ale nikt nie czuł zmęczenia i nikt nie proponował spoczynku. Jak odpoczywać, kiedy za chwilę granica Jugosławii. Właściwie trudno to nawet nazywać granicą, gdy ktoś szedł nocami przez Karpaty w śniegu wyższym od człowieka, gdy na trzaskającym mrozie brnął po pas w rwących strumieniach, a dniami krył się w "melinach" przed niemieckimi strażami. Złapanie znaczyło kulę w łeb - albo na miejscu albo po śledztwie - a jednak szli ciągle. A w śledztwie bito tak, że w jedną ranę zmieniał się człowiek, potem pędzono ten krwawy łachman przez całą wieś "dla przykładu", a w końcu dobito wystrzałem i trupa zostawiano na drodze. Gęsto słały się te szlaki wędrówki naszych żołnierzy trupami, po których żaden grób ani krzyżyk nie został, a jednak szli wciąż nowi. Szli z wszystkich dzielnic Polski, nawet z okupowanych przez Rosję, choć "towarzysze", gdy złapali, umieli być nie mniej okrutni. Po pięćdziesięciu i po stu dziennie szło, choć do Węgier docierało trzydziestu, czasem sześćdziesięciu. Do nich dołączali zbiegli z obozów na Węgrzech i waliło to wszystko na Jugosławię i Włochy do Armii Polskiej we Francji partiami po stu i dwustu dziennie. I szli, nie kryjąc się już prawie, bo Węgrzy, Serbowie i Włosi nawet, jeżeli nie mogli otwarcie pomóc, życzliwie przymykali oczy.

Nie szło nas teraz stupięćdziesięciu, a każdy gadał i opowiadał, żartował i nawet kłócić się zaczynał, choć jeden prawie nie znał drugiego. W Budapeszcie mieszkali w różnych pensjonatach, żeby nie wpadać w oczy policji i niemieckim szpiclom, potem każdy według instrukcji jechał osobno do małej wioski nad granicą i pierwszy raz spotkali się dopiero na zbiórce przed wymarszem. Ale w stodole było ciemno - świeczka służyła do sprawdzenia listy - więc trudno było kogoś zobaczyć. Dopiero teraz robiono znajomości.

- Moje nazwisko B-ski.
- Ten hrabia?! - zdziwił się jakiś lwowiak.
- To właśnie ja.
- A niechże pana pokręci! To straszny idiota, mówili.
- Ludzie zawsze przesadzają - odpowiedział lekko dotknięty hrabia i zamilkł. Po chwili jednak skarżył się, że mu się "coś" zrobiło na pięcie więc jakiś młody doktór pomógł mu nieść tobołek i zalecił injekcję salwarsanu. Hrabia znów uznał to za nietakt, ale gdy doktór wpadł po szyję w wodę, wyciągał go z rowu, choć krzyczał na niego, że wodę zabru - dził. Uspokoił go dopiero jakiś olbrzymi górnik ze Śląska, który ciężko kutym butem wlazł na jego biedną piętę. Hrabia jęknął i odskoczył, zderzył się z lwowiakiem i razem wpadli do wody, z której wyszli przyjaciółmi na śmierć i życie. Wywołało to wybuch tak spontanicznej radości, że Słoweniec, przemytnik który nas prowadził, dał znak, że już blisko granica.

Poszliśmy dalej cicho, bo gdybyśmy wpadli na posterunek, ten musiałby udawać, że chce nas zatrzymać. To głupstwo, ale potem musiałby pisać raport, raport musiałby wyżej iść i dotarłby do rąk Gestapo, kontrolujących wszystko na Węgrzech. Żeby uniknąć tego, Węgrzy zawarli z nami umowę. Jeżeli ich żołnierz słyszał że idziemy, zaczynał głośno śpiewać. Wtedy my słysząc ten śpiew mieliśmy czekać aż się oddali. Obie strony dotrzymywały warunków umowy lojalnie, gdy jednak noc w noc szły małe partie przez różne punkty, granica była tak rozśpiewana, że brakło re - pertuaru i warty skarżyły się na ból gardła. Przybył więc warunek dodatkowy. Partie mogą być większe, ale za to pójdą co drugą tylko noc i zawsze przez jeden punkt granicy. Gdy czasem agenci Gestapo wykryli taki

punkt, ministerstwo honwedów wysyłało komisję na miejsce, a równocześnie dawało inną drogę. Komisja wracała, znalazłszy wszystko w porządku, a granica w innym miejscu śpiewała.

Nie chciało mi się wierzyć w tą sielankę póki na własne uszy nie sprawdziłem. Dziwne wrażenie robi taki czardasz śpiewany pełnym głosem w nocy na pustym polu podczas deszczu. Padliśmy, z trudem powstrzymując śmiech, bo lwowiak zaczął wtórować drugim głosem. I nie chciał przestać, choć hrabia zaklinał a nawet groził zerwaniem przyjaźni. Dopiero stary sierżant, pilot z wielkiej wojny, uciszył go radykalnie. Usiadł na głowie śpiewaka i błoto stłumiło tony jego wtórne. Gdy czardasz oddalił się na kilkaset metrów, przemytnik dał znak i pobiegliśmy przez granicę z dyskrecją galopu stada słoni. Jeszcze paręset metrów pasa neutralnego, a potem Drawa i Jugosławia, skąd prosta już droga do Francji, do wojska.

Prosta, bo Włosi to drobiazg. Ich konsul prowadził politykę niezależną od wskazań partii faszystowskiej i wizy przejazdowe wydawał masami niemal do dnia wybuchu wojny z Francją. Prosił tylko, żeby jadąc nie zbijać się w jednym wagonie i nie śpiewać zbyt głośno, bo pro niemieccy Włosi urządzają na stacjach owację Polakom jadącym do Francji...

Gdy znaleźliśmy się na środku Drawy, cały brzeg nagle zajaśniał światłami. Zrobiło się nam niewyraźnie. Jugosłowianie nie puszczą przez rzekę. Jeżeli puszczą poddadzą rewizji, a wobec braku wiz - przetrzymają. Tak każą przepisy graniczne. Wobec tego - oświetlili nam drogę, wyciągnęli łodzie na brzeg, zapytali czy nie mamy broni i przyjęli gorącym śniadaniem. Potem ich oficer szedł z nami parę mil do najbliższej stacji. Co drugi dzień tak odprowadzał polskie transporty, żeby nie miały żad - nych trudności.

Gdy dzień zastał nas w marszu, okazało się, że nasza gromada nie ma wcale tak wielkiej wartości bojowej, jak mogło wydawać się w nocy. Hrabia miał nogi długie lecz przeraźliwie chude i tylko na lewej mógł iść, nasz doktór nie miał jeszcze doktoratu, bo skończył dopiero szesnaście lat, ogromny górnik trzy żebra miał złamane na przesłuchaniu w Gestapo i po tej nocy nie mógł prosto stać, a sierżant-pilot miał tylko jedną rękę jeszcze od czasu wielkiej wojny. Wyglądaliśmy jak transport szpitalny i trochę wstyd nam było przed serbskim oficerem. Paru kaszlało wielu utykało, a jeden chłopak szedł jak na kulach a nie swoich nogach. Oficer zatrzymał wszystkich i kazał mu zdjąć trzewiki. Odmrożone ciało było zczerniałe a w głębi otwartej rany na wielkim palcu widać było białą kość. Leczono go w Budapeszcie ale uciekł ze szpitala do wojska. Nie on jeden cierpiał na to po przejściu Karpat i dlatego tylu utykało.

Oficer poznał już masę Polaków, tym jednak był wzruszony.

-Chore to, głodne, blade, zmarnowane a twarde jak krzemień - mówił. Wynajął parę wozów dla najsłabszych, sam jednak szedł z nami dalej pieszo, choć musiał śpieszyć się, bo popołudniu mieli zjechać niemieccy "turyści", by podziwiać piękno pasa granicznego.

-Te ścierwa - złościł się - jadą koleją legalnie, z paszportami, wizami i walizkami z Bóg wie czym!

-Czy poszliby tak przez granicę, jak ci? - zapytałem, wskazując naszą grupę.

-Poszliby, ale na rozkaz - odpowiedział - A z rozkazem dostaliby mapy, konserwy, opiekę lekarską, instrukcje o drodze, noclegach i punktach, gdzie piwo na nich czeka. A tak jak wy, bez zdrowia i sił, na głód i poniewierkę, bez rozkazu a z własnej woli, i bez łzy nawet nad swoją biedną dolą, nie pójdzie chyba żaden żołnierz na świecie...

Przyjemnie było słuchać tego ale nikt nie rozczulał się sobą. Ktoś nawet odpowiedział, że nigdy nie wzruszy się niczym po tym co wi-

dział w Polsce. Patrzał jak wieźli ludzi pod Archangielsk a ich dzieci gdzieś w Zakaspijską obłast'. Ktoś inny dodał, że nie płakał, kiedy mu brata przed domem zabili a siostrę wywieźli do Niemiec. Ludzie ci nie mają już czem płakać.

Karczma przy stacji z trudem nas zmieściła i przyjęła czymś w rodzaju obiadu, na który zaprosiliśmy oficera. Zrewanżował się winem i orkiestrą. Weszło czterech cyganów w zdartych ale barwnych strojach i na biedniutkich skrzypeczkach zagrali, mocno sztukując nie znaną im melodię, "Jeszcze Polska nie zginęła". Wstaliśmy i usiłowali być spokojni. Ale jakaś siła mocniejsza od wszystkich postanowień złapała za gardło, tak że nie było sposobu. Widziałem, że hrabia zacisnął szczęki i zaczął przełykać ślinę, więc odwróciłem oczy na przyszłego doktora, żeby nie popaść w czułostkowość. Ale ten znowu zadzierał głowę do góry i oczy szeroko otwierał, żeby łez nie wypuścić na zewnątrz, a w końcu odwrócił twarz do okna. Olbrzymi górnik ostrożnie ściskał swoje żebra, bo płacz mu wstrząsał całe piersi, a stary sierżant, co stał przy nim, otworzył usta żeby śpiewać, ale wargi zaczęły mu latać i musiał je ręką zasłonić. O tym, żeby ktokolwiek mógł wydobyć głos inny od szlochu, nie mogło być mowy. Przy drugiej zwrotce wszelkie wysiłki zawiodły i nikt już nie udawał spokoju. Płakali jak małe dzieci. Dlaczego - niktby nie próbował mówić, bo żołnierz nie chętnie mówi o Polsce. Może dlatego, że z tą samą pieśnią jechały dzieci w Zakaspijską Obłast' i bracia padali roztrzelani... A dawniej wygnańcy na Syberii marli, a jeszcze dawniej inny żołnierz-tułacz szedł walczyć "za wolność naszą i waszą". Więc pójdzie i teraz na odmrożonych kikutach w góry Norwegii, pomaszeruje pod Tobruk ze złamanym żebrem i jedną ręką poprowadzi samolot nad Niemcy z tą pieśnią w sercu.

- Straszna jest siła bojowa takiego żołnierza - szepnął oficer.- Tak nie kocha wolności żaden naród na świecie.- Po chwili namysłu jednak dodał - Chyba Serbowie.

Antoni Gwojdziński

W o j n a   i   s ł o w o .

W dawnych, nietotalnych wojnach, przynajmniej w tych, co toczyły się za naszej, nazbyt już wojnami przeładowanej, pamięci, - straszliwa przepaść dzieliła świat wojska od świata cywilnego. Żołnierz miał jakgdyby monopol na wszystko niebezpieczeństwo, trud, grozę i bohaterstwo, a strona cywilna skazana była na bierną, wstydliwą, a często i niemoralną rolę konsumenta żołnierskiego trudu, żołnierskiego bohaterstwa, żołnierskiej śmierci.

W tej wojnie przepaść nie jest już tak głęboka. Na szczęście naszego sumienia, choć na nieszczęście naszych serc, zasypały ją liczne trupy cywilów obojga płci, nawet trupy niewinnych dzieci. A niekiedy kamienne zwłoki całych miast.

Przeto podziw, z jakim odnosi się dzisiejszy cywil do swego wojska, nie jest już tak żenujący. I wolny jest od faryzejskiej egzaltacji na widok munduru. To - podziw uświadomionego, uczciwego laika dla fachowca i mistrza. Podziw pacjenta, zagrożonego śmiercią dla ratującego go od zagłady i narażającego się dlań stokrotnie - lekarza.

Fachowcy i mistrzowie pierwszej wojny światowej oraz późniejszych polskich wojen odnosili się przeważnie z pobłażaniem, jeśli nie

z pogardą do apoteozy własnych czynów, głoszonej mową wiązaną i niewiązaną przez ludzi, którym los oszczędził niebezpieczeństw i pozwolił stronić od t.zw. teatrów wojny.

Dziś na tych teatrach, niema już sakramentalnej przegrody między sceną a widownią, niema już wgłębienia dla orkiestry, dla basujących tragedii akompaniatorów, jakkolwiek niemało jest - budek suflerskich. Suflowanie wojnie - rzadko wpływa na istotny przebieg akcji, nawet jeśli w budkach, przypominających schrony, siedzą rutynowani prorocy.

Uwagi niniejsze mają pobudzić zaufanie żołnierza do cywila, który śmie innym, mniej wymownym cywilom komentować żołnierską sprawę. Na dnie bowiem stosunku żołnierza do cywila zawsze jeszcze tkwi uzasadniona nieufność.

W polskiej prasie emigracyjnej coraz częściej spotykamy autentyczne relacje uczestników tej wojny na lądach, na wodach i w powietrzu. Są to przeważnie bardzo wartościowe, z wielkim umiarem, godnością i skromnością, a niekiedy i z wielkim talentem opisywane dzieje spraw nadludzkich, momentów niepowtarzalnych, nieomal nadprzyrodzonych. Tak oto rosną sobie powolutku wielkie a nowe GESTA POLONORUM na wszystkich niemal kontynentach, morzach i pułapach niebieskich nieszczęsnego globu. Rośnie Słowo o bohaterstwie i ofiarności polskiego żołnierza i marynarza, tem konkretniejsze im cichsze, tem wymowniejsze im mniej patetyczne. Rodzi się nowy język, będący czemś pośredniem między "suchem" sprawozdaniem technicznem inżyniera i mechanika, a mokrą od krwi kroniką średniowiecznego anachorety. Krew, matka wszelkiej pieśni na tym padole łez, łączy się tu w związku chemicznym z Benzyną, lotną boginią tej wojny.

Polski wojownik lądowy, morski i powietrzny, dziedziczy nadal puściznę swych poprzedników z pod Kircholmu, Samosierry i Racławic. Mimo benzyny, silników i całej skomplikowanej mechaniki trwa w nim nadal stara romantyczna nuta, choć w zmienionej nieco tonacji. Żadne maszyny, żadne silniki nie zdołają wytracić w polskim wojowniku tej nuty, dyskretnej i smutnej, a tak autentycznej jak cała wiedza fachowa, bez której dziś nie sposób wojować.

Zawodowy pisarz-cywil wita serdecznie słowo pisarza-żołnierza. Słowo to głosi bowiem prawdy, które cywil może przeczuć, odgadnąć, ale nie potrafi ich sprecyzować. A słowo żołnierza jest precyzyjne taksamo jak jego wojenne czynności. Są to naogół nowe prawdy, całkowicie odmienne od prawd wojny z lat 1914-1920. Tamte wojny były par exellence wojnami piechura, artylerzysty lądowego, a na polskim odcinku - i kawalerzysty. O wojnie maszyny, o wojnie motorów, mówią dziś ludzie zbratani z maszyną, a mówią jak maszyniści: cicho, skromnie i fachowo.

W tej wojnie niema już miejsca na akompaniament blagi, ani w "życiu", ani w śmierci, ani w słowie, które to życie i tę śmierć przekaże wieczności.

Józef Wittlin

Medauuar 209.

Opowiadanie ppłk. S., dowódcy batalionu Samodzielnej Brygady Karpackiej.

Siedzieliśmy przy stole, zarzuconymi mapami. Syria, Irak, Iran, Palestyna, Egipt no i wreszcie całe wybrzeże libijskie od Bardii aż po Tripolis. Na ścianie złociła się kolorem piasku pustynnego sztabowa włoska mapa Tobruku i jego słynnego "perimetru" obronnego. Wśród pasma

wzgórz, okalających łukiem Tobruk, czerwieniły się kropki fortów betonowych, wybudowanych przez Włochów. Podpułkownik S., chodząc dokoła stołu, rozpoczął swoje opowiadanie. Przysadzisty, średniego wzrostu, o twarzy spalonej przez gorące wiatry pustynne, mówił głosem niskim, jakby zachrypłym. Powodem tej chrypki była kula nieprzyjacielska, która pozostawiła wyraźny ślad na jego szyi. Z pod ostro zarysowanych brwi jego pełne wyrazu oczy rzucały stale spojrzenia na słuchacza, akcentując wypowiadane słowa. W szachownicy wstążeczek orderowych, przypiętych do munduru polowego widnieje na czołowym miejscu czarno-niebieska wstążeczka "Virtuti Militari". Te odznaczenia to historia 30-to prawie letniego niespokojnego, pełnego trudów i znoju, walk i ran żywota żołnierskiego.

- Było to w kwietniu 1940 r. - rozpoczął swoje opowiadanie podpułkownik S. W Paryżu decyzją Wodza Naczelnego powstał zalążek Brygady Karpackiej. W niedługi czas potem garstka oficerów z ówczesnym pułkownikiem, dziś: gen. Kopańskim na czele, wyjeżdżała z Marsylii do Syrii, gdzie nasza Brygada miała być sformowana. Pod koniec kwietnia pełni wiary i zapału, pełni radości z wyznaczonego nam zadania znaleźliśmy się w Syrii w małej dziurze Homs, już niemalże na skraju pustyni przy torze kolejowym linii biegnącej z północy na południe w kierunku Palestyny. Położenie dobre. Niezbyt daleko od granicy tureckiej i palestyńskiej, no i od Damaszku, gdzie tak często trzeba było jeździć w związku z załatwianiem spraw organizacyjnych i ekwipunkowych nowopowstającej Brygady. Odrazu, w pierwszych dniach pobytu przeżyliśmy wielkie rozczarowanie. Ileż to nasłuchaliśmy się i naczytaliśmy się we Francji o silnej, dobrze wyposażonej armii, na czele której stoi generał Weygand. Armia ta miała być w razie czego użyta nietylko w obronie bliskiego i średniego Wschodu, ale i w ataku na ośrodki nieprzyjacielskie w Centralnej Europie. Tymczasem, ku naszemu przerażeniu stwierdziliśmy, że cała ta wydmuchana i przereklamowana, a jak się okazało, źle uzbrojona armia składała się z kilku pułków zaledwie. Razem tego wszystkiego było kilkanaście tys. żołnierzy. Odkrycie to napełniło nas złemi przeczuciami... Tym niemniej praca nad organizacją Brygady, która miała być Brygadą górską, postępowała szybko naprzód. Dzień w dzień do koszar naszych przychodziły transporty żołnierzy polskich z różnych zakątków Europy. Ta wędrówka żołnierska, jej trudy i przeszkody są dobrze już wszystkim znane. Nic tych chłopców nie mogło powstrzymać przed dotarciem do upragnionego Homs! Użyłem słowa "chłopców" może nie całkowicie słusznie, gdyż wśród nich znalazło się wielu ludzi starszych, których, gdy im tylko urosły siwe brody nazywaliśmy "świętymi Mikołajami". Ale było wielu 15-to i 16-to letnich chłopców, dzieci prawie. Praca szkoleniowa szła jak z płatka. Cieszyliśmy się przedpotopowym sprzętem, jaki Francuzi nam nieraz przydzielali.

W tym okresie, gdyśmy ciągle jeszcze z żalem i żrącą tęsknotą rozpamiętywali chwile rozstania się z bronią pod koniec kampanii w Polsce, stare maleńkie działka górskie wydawały się nam cudami.

Tymczasem jednak wypadki rozwijały się błyskawicznie. Weygand wezwany został do Paryża. On i 75-milimetrowe polówki francuskie miały uratować Francję... Na jego miejsce przyszedł generał Mittelhauser. Lotaryńczyk z pochodzenia, nie odznaczał się specjalną przyjaźnią dla Polski. Musieliśmy być przygotowani na wszystko. Po zawieszeniu broni wydawało się początkowo, że Mittelhauser nie skapituluje. Stało się jednak inaczej. Pułkownik Kopański, który przebywał w Damaszku, wydał rozkaz, by Brygada nasza z pełnym uzbrojeniem, amunicją i zapasami załadowała się na stacji Homs i przeniosła do Palestyny. Wysyłka pierwszych transportów poszła gładko a pomogli nam nawet i Francuzi. Natychmiast po zawieszeniu broni oddali nam oni przeszło 100 samochodów ciężarowych, którymi wywieźliśmy zapasy mundurów i amunicji. Gorzej było z

załadowaniem ostatnich transportów, a więc mojego batalionu. Po szeregu aperritivów, wypitych z Naczelnikiem miejscowej stacji, ruszyliśmy w drogę, lecz na granicy palestyńskiej spotkała nas delegacja francuskich oficerów sztabowych. Oświadczyli mi oni krótko, że pułkownik Kopański został aresztowany przez gen. Mittelhausera i że, jeżeli chcemy, to bez broni możemy przejść na teren Palestyny, lecz amunicja, broń i cały ekwipunek poza mundurami, które mieliśmy na sobie, muszą pozostać w Syrii. Ponieważ jednak zorientowałem się, że z delegacją można łatwo się targować, przeto po dłuższej rozmowie wytargowaliśmy wszystko z wyjątkiem starych ale dobrych działek górskich, do których już się przyzwyczailiśmy. Tak długo męczyliśmy i przekonywaliśmy Francuzów, że wreszcie machnęli ręką, darowując nam również i te działka. W ten sposób cała Brygada Karpacka znalazła się na terenie Palestyny, witana entuzjastycznie i serdecznie przez Anglików.

Tymczasem w Damaszku, w Głównej Kwaterze generała Mittelhausera odbyła się dramatyczna rozmowa między nim a pułkownikiem Kopańskim. Było to w czasie, gdyśmy prowadzili pertraktacje z delegacją francuską na granicy palestyńskiej.

"Panie Pułkowniku - mówił gen.Mittelhauser, który - dodaję w nawiasie - przez kilka lat był w Czechosłowacji i pod jego nadzorem wybudowane zostały silne fortyfikacje na Śląsku Cieszyńskim - żądam kategorycznie zwrócenia broni i amunicji oraz całego zaopatrzenia przez Pańską Brygadę."

"Panie Generale - zareplikował na to stanowczym tonem pułkownik Kopański - w historii wielokrotnie żołnierz polski bił się ramię przy ramieniu wraz z żołnierzem francuskim. Nie chciałbym, by żołnierz ten był zmuszony obrócić broń przeciwko swym towarzyszom i by się polała krew francuska."

Obecny przy tej rozmowie pułkownik Sztabu Francuskiego, wielki przyjaciel Polski, rozpłakał się... Ten sam pułkownik dowodził później wolno-francuskimi wojskami, które tak dzielnie się spisały pod El Hacheim. Francuzi nie przynieśli tam wstydu swym najlepszym tradycjom wojskowym.

"Przekonał mnie Pan, Panie Pułkowniku. Jest Pan wolny" - tymi słowy zakończył gen.Mittelhauser tę krótką, a pełną napięcia dramatycznego rozmowę z pułkownikiem Kopańskim.

W tym czasie już cała niemal Brygada znajdowała się w Palestynie. Z bronią, zaopatrzeniem, amunicją, całym ekwipunkiem, umundurowaniem, francuską kolumną samochodową, podarowaną nam w ostatnim momencie, no i z zacięcie upartymi mułami naszej artylerii, z którymi chłopcy nie mogli sobie ciągle dać rady i wreszcie z nieśmiertelnymi konikami naszych jednostek kawaleryjskich. Górska Brygada - bo jako taka była planowana - chociaż my marzyliśmy ciągle o brygadzie zmotoryzowanej i te nasze marzenia spełniły się dopiero w Tobruku, gdzie sprzęt zmotoryzowany przejęliśmy w spadku po Australijczykach.

Prześlizgnę się szybko nad okresem palestyńskim i egipskim Samodzielnej Brygady Karpackiej, by zająć się naszym okresem tobruckim.

Pobyt w Palestynie i Egipcie był pracowity. Szkolenie i uzupełnienie. Poza tym ciężkie prace fortyfikacyjne w dwu ważnych punktach egipskiego systemu obronnego. W czasie tych robót fortyfikacyjnych mieliśmy częste nocne wizyty bombowców nieprzyjacielskich. Na szczęście straty z tego powodu były małe. Dużo jednak potu żołnierskiego wsiąkło w piasek pustynny, gdzie oddziały Brygady budowały umocnienia, zwłaszcza pod Aleksandrią i Marsamatruk. Wspomnę tutaj również o pewnym szczególe, który mało komu jest znany. Oto Samodzielna Brygada Karpacka w czasie walki z Niemcami w Grecji a później na Krecie miała być przeniesiona na

ten odcinek frontu. Byliśmy nawet już załadowani na statki. Później rozkaz został odwołany i zostaliśmy. Kto wie, jakie byłyby losy Brygady, gdybyśmy popłynęli do Grecji...

Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy batalionami zostaliśmy załadowani na statki nie wiedząc dokąd popłyniemy. I tak cała Brygada Karpacka znalazła się w oblężonym Tobruku, by zluzować oddziały australijskie i wreszcie doczekać się upragnionej motoryzacji, dziedzicząc po nich sprzęt. Z pewnem zdziwieniem wysłuchiwaliśmy potem przez radio i wyczytywaliśmy w dziennikach określenia, nadawane Tobrukowi jako jakiejś fantastycznie ufortyfikowanej twierdzy. Bo co to jest naprawdę Tobruk? Miasteczko wybudowane kiedyś przez Włochy faszystowskie w pobliżu dość lichego porciku. Dzisiaj domy miasteczka to jedna wielka masa gruzów i zwalisk. Naprawdę to nie istnieje już ono. A fortyfikacje tej "twierdzy"? Tak chciał los, że słynny i wielokrotnie opisywany "perimetr" obronny Tobruku to nic innego, jak pasmo wzgórz, którym natura szczęśliwym trafem okoliła Tobruk jakby jakimś wieńcem ochronnym. Wśród wzgórz tych gdzie niegdzie Włosi wybudowali małe forty betonowe, które nie wytrzymywały nawet średniego ognia artyleryjskiego, a poza tym już w założeniu okazały się fałszywie skonstruowane ze złym polem obstrzału. Dlatego też często na tym perimetrze lokowaliśmy się wszędzie tylko nie we włoskich "pill-boxach". Tak wygląda ta osławiona twierdza Tobruk, w której wytrzymaliśmy tyle miesięcy. Mój batalion początkowo zajął pozycje na południowo-wschodnim odcinku perimetru, mając przed sobą Włochów. Nie był to najgorszy okres naszego pobytu w Tobruku. Wprawdzie linie włoskie naszpikowane były artylerią, karabinami maszynowymi, moździeżami i doskonałymi armatkami wyrobu szwajcarskiego, wprawdzie na wojnie nie strzela się pączkami, lecz mimo to muszę stwierdzić, ży były to dni względnie spokojne. Wszystko spokojne ma jednak swój koniec i po krótkim wypoczynku na zapleczu perimetru Batalion mój przeniesiony został na południowo-zachodni odcinek wzgórz obronnych, no i wreszcie mieliśmy przed sobą Niemców! Sytuacja jednak nie była zbyt wesoła. W tym miejscu wzgórza okalające Tobruk posiadają jedno z najwyższych wzniesień, które, jak Pan tu widzi na mapie, - w tym miejscu ppłk.S. wskazał ołówkiem na brązowy punkt wzniesienia - nazywa się Medauuar 209. To wyniosłe wzgórze posiadało duże znaczenie strategiczne. Kto był w posiadaniu Medauuaru, ten panował nad dużą częścią perimetru obronnego, mając pod obstrzałem swojej artylerii i broni maszynowej wszystko, co na dole się poruszało. Każdą sylwetkę, każde auto czy motocykl widziało się stamtąd jak na dłoni. Pech chciał, że Niemcy jeszcze zanim obsadziliśmy nasz nowy odcinek pchnęli w tym miejscu do ataku 500 czołgów, zdając sobie sprawę z wagi Medauuaru i zajęli wzgórze. Memu Batalionowi przypadł zaszczyt trzymać Niemców na tym odcinku, a muszę dodać, że dotychczas na tym, jak go nazywali "piekielnym" odcinku, wojska australijskie wytrzymywały od 7 do 13 a najwyżej 14 dni i były potem luzowane, a podkreślić należy, że Australijczycy i Anglicy bili się świetnie. Myśmy wytrzymali 71 dni.

Mój Batalion obsadził odcinek długości 800 metrów. Gdyśmy pierwszy raz przyszli na pozycję, czułem się nie wesoło. Ponieważ obsada odcinka była zmieniana co kilka, a najwyżej co kilkanaście dni, przeto, licząc się z chwilowym pobytem na nim Australijczycy nie wybudowali żadnych przyzwoitych rowów ochronnych tym bardziej, że przedstawiało to duże trudności wobec skalistego podłoża. Każdy żołnierz budował dokoła siebie małą piramidkę ze skał i kamieni i na tym koniec. Rezultat: straty dość duże. Wzięliśmy się natychmiast do roboty. Potrzeba jest matką wynalazczości. Żołnierze porobili sobie dłuta ze starych resorów samochodowych, bo to twarda stal i zaczęliśmy kuć dniami i nocami, bawiąc się naprzemian w górników i żołnierzy. Wreszcie doprowadziliśmy do tego,

że każdy żołnierz miał swój głęboki schron a ci, którzy mieli szczęście i pod warstwą skały natrafili na podłoże gliniaste wwiercili się głęboko pod skałę, wykopując sobie "luksusowe" kabiny, w których mogli się nawet przespać i gdzie nawet diabeł nie mógł ich dostać. A odcinek - trzeba to przyznać - był gorący. Dzień, w którym w czasie ognia artyleryjskiego wystrzelano 10 do 15.000 pocisków, był dniem dobrym i lekkim. Gorzej było, gdy na odcinek w ciągu dnia spadło 30 do 40.000 pocisków. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale tak było, że straty nasze, dzięki wryciu się w skały i glinę, były nieznaczne. Niemcy panowali nad naszą pozycją zgóry, ale i my nie pozostawaliśmy im dłużni dysponując dużą siłą ognia. Czego myśmy nie mieli! Najrozmaitsze typy broni: angielskie i zdobyczne niemieckie i włoskie. Nasze moździeże spisywały się znakomicie. Zdarzało się, że nad pozycjami niemieckimi ukazywała się flaga Czerwonego Krzyża. Na ten znak - a był to zwyczaj uświęcony tak w walce z Niemcami, jak i Włochami, milknął ogień z jednej i drugiej strony i wówczas widzieliśmy, jak krzątają się sanitariusze, zabierając rannych i okrywając kocami zabitych. Po takiej przerwie następowała znów wymiana końcowych sygnałów i waliliśmy dalej na tym samym celowniku, bo rezultaty wykazały, że był dobry. I ja znalazłem się raz w takiej sytuacji, że już chciałem skorzystać z tego uświęconego zwyczaju i wywiesić flagę Czerwonego Krzyża, ażeby uratować jednego z moich żołnierzy, ciężko rannego w głowę, lecz zanim dałem rozkaz - zmarł. Flaga nie została wywieszona i walka trwała dalej...

Jak niewygodnie musiało nam być na tym odcinku świadczy fakt, że odległość, dzieląca nas od pozycji niemieckiej, wynosiła zaledwie od 90 do 140 metrów. Poza ogniem artyleryjskim i normalnym broni maszynowej mieliśmy częste wizyty nurkowców niemieckich - Stucka. Przylatywało ich po kilkadziesiąt prawie codziennie. Młócili na zmianę, w dzień pozycje na perimetrze, a w nocy port, gdyż wiedzieli, że nocą zawijają tam statki z zaopatrzeniem. Szczęśliwie jednak nurkowce niemieckie nie wyrządzały nam zbytniej szkody. Ponieważ linie nasze były bardzo blisko pozycji niemieckich, przeto lotnicy niemieccy najczęściej łupili w swoich ludzi, a gdzie indziej we Włochów i zdarzało się, że nad pozycjami nieprzyjacielskimi ukazywała się flaga Czerwonego Krzyża, by Niemcy i Włosi mogli zebrać żniwo swoich własnych lotników. W tych warunkach osiągnęliśmy rekord, siedząc w naszych skalnych norkach vis à vis Niemców 71 dni.

- A jak było z zaopatrzeniem w wodę, żywność i kiedy wypoczywaliście w tym okresie bezustannych walk?

- Ach woda! - przerwał swoje opowiadanie na chwilę ppłk.S. Spojrzał na krystalicznie czystą wodę w oszronionym od kostek lodowych dzbanie. Nalał pół szklanki i pił małymi łykami jakby się delektując. Byłem pewny, że w tym momencie przebywał myślami w odległym spieczonym słońcem afrykańskim Tobruku.

- Woda. No cóż, woda była słona. Bo Tobruk niema własnego zaopatrzenia w wodę i otrzymuje ją z Derny, która znajdowała się w rękach nieprzyjaciela. Więc piliśmy słoną kawę i herbatę, która początkowo wykrzywiała nam gęby, ale później przyzwyczailiśmy się, a nawet doszliśmy do przekonania, że te słone napoje są wcale smaczne. Z chlebem i mięsem nie było też zbyt wesoło. Jak na wojnie w oblężonym mieście i w rowach wykutych w skale, do których w czasie dnia nie można się było dostać, bo to groziło szybkim przeniesieniem się na drugi świat. Jedzenie zaczynało się dopiero o zmroku, a było takie, jakie było. Stąd też mieliśmy wielu młodych chłopców bezzębnych wskutek szkorbutu. Jakoś to wszystko jednak przetrzymaliśmy względnie dobrze, obywając się przez 5 i pół miesiąca bez słodkiej wody. W czasie jedzenia z jednej i drugiej strony wystrzeliwały w niebo czerwone rakiety. "Uwaga! Wydawanie koryta!" Wtedy wojna

zamierała na krótki przeciąg czasu dla wszystkich, bo Batalion je! Jedzą w ciszy wszyscy: Polacy, Australijczycy, Anglicy, Czesi, Niemcy,Włosi. A potem znów rakiety czerwone i wojna zaczyna się na nowo o pełniejszych żołądkach i w lepszych nastrojach. W Tobruku dzień był dla nas nocą, a noc dniem. Od 6-tej wieczór do 7-mej rano nikt nie mógł oka zmrużyć. To okres największej baczności, w którym jedna i druga strona starała się zasięgnąć języka i w której można było spodziewać się wszystkiego. Niespodzianka i zasadzka czaiła się w ciemnościach nocnych. Czuwanie nocne odrabiali sobie żołnierze w czasie dnia.

I tak prowadziliśmy życie nowoczesnych, zmotoryzowanych jaskiniowców, - życie żołnierskie na froncie naszpikowane wypadami, nalotami bombowców nieprzyjacielskich i codziennym menu wzajemnego obstrzału. Liczba krzyży na cmentarzyku polskim w Tobruku powiększała się...

Aż nadszedł dzień 14 listopada 1941 r. Niespodzianie zjawił się w Tobruku Wódz Naczelny Premier Generał Władysław Sikorski. Wizyta jego wywarła olbrzymie wrażenie, nietylko na nas, oficerach i żołnierzach polskich, ale i na dowództwie angielskim i wszystkich oddziałach, wchodzących w skład garnizonu w Tobruku. Pierwszy to raz zdarzyło się w historii tej wojny, że Premier i Wódz Naczelny jednego ze sprzymierzonych państw i to właśnie nasz premier i wódz naczelny podjął niebezpieczną i żmudną podróż, by odwiedzić swoich żołnierzy, walczących na krańcu pustyni libijskiej. Chodziliśmy radośni i dumni. Słowa uznania i nieskrywanego podziwu padały z ust oficerów angielskich. Generał Sikorski nie ograniczył się tylko do odwiedzenia samego Tobruku, lecz dotarł do wysuniętych placówek i linii obronnych. Dowództwo angielskie drżało, obarczone odpowiedzialnością za życie Generała. I co tu dużo mówić, mimo, iż przybycie Naczelnego Wodza ujęło ich głęboko, to oficerowie angielscy pragnęli jak najprędzej pożegnać Generała Sikorskiego i wysłać go z tego gorącego odcinka frontu afrykańskiego. Długo trwały pertraktacje i przekonywania Naczelnego Wodza, który chciał z Brygadą Karpacką spędzić kilka dni, ale wreszcie zwyciężyli Anglicy, wysuwając argument trudności komunikacyjnych. Wódz Naczelny, który odwiedził Gibraltar i skalną twierdzę na Morzu Śródziemnym, Maltę, opuścił Tobruk drogą morską, przebywając niebezpieczny odcinek podróży między Tobrukiem a Aleksandrią w tych samych warunkach jak my, kiedy to Brygada przywieziona została do Tobruku. Przez długi czas wizyta Naczelnego Wodza była tematem rozmów w rowach i norkach skalnych, dając pożywkę do gawęd i rozmówek i prowadząc do konkluzji, którą wyrażały krótko proste i szczere słowa żołnierskie: "Nasz generał - to byczy chłop!"

Aż wreszcie gruchnęła wieść o ofenzywie 8-mej armii imperialnej. Nadchodziła odsiecz i nadzieja wyjścia z rowów oraz przetrzepania Niemców. Ofenzywny wał brytyjski zrulował poprostu nieprzyjacielski pierścień oblężniczy a my w odpowiednim momencie przypuściliśmy atak na wyniosłe wzgórze Medauuaru, wyrzucając Niemców, którzy poczęli szybko pakować manatki, zostawiając w naszych rękach przeszło 700 motocykli. Zasiliły one poważnie nasz sprzęt motorowy.

A dalej? Dalej oczekiwała nas El Gazala. Bitwa, która przeszła do historii Samodzielnej Brygady Karpackiej i odegrała dużą rolę w operacjach ofenzywnych w Libii. El Gazala to zaledwie parę starych grobowców, które różne wojska kolejno zamieniały na mieszkanie. Piętnastego grudnia o godz.15.30 - pamiętny to dzień - rozpoczęliśmy atak. Uprzednio atakowali na tym odcinku Nowozelandczycy i nie dali rady, poniósszy duże straty. Mieliśmy naprzeciw siebie oddziały włoskich dywizji Pavia i Trento, które były naszymi starymi znajomymi z południowo-wschodniego odcinka "perimetru" tobruckiego, zanim przeniesieni zostaliśmy na odcinek, położony naprzeciw Niemców. Aczkolwiek były to dywizje włoskie,to jednak w składzie ich znajdowała się pewna ilość Niemców, a artyleria

była całkowicie niemiecka. Nie będę opisywać przebiegu tej bitwy, której szczegóły są już dokładnie znane. Dość powiedzieć, że nasz pierwszy i trzeci batalion już 15 grudnia posunęły się znacznie naprzód piorąc Włochów "jak ta lala" i biorąc do niewoli tylu jeńców, że przewyższyli oni znacznie skład batalionów, biorących udział w walce. Szesnastego grudnia było jeszcze goręcej. Trzeba było zdobyć grzbiet naprawdę silnie ufortyfikowany. Na atak wybraliśmy godzinę posiłku, gdyż wówczas najłatwiej zaskoczyć jedzących Włochów, których wówczas poza "korytem" nic nie obchodzi. Atak uwieńczony został całkowitym powodzeniem, przyczym wzięliśmy do niewoli cały niemal że 27 pułk włoskich bersalierów śmierci wraz z dowódcą. Mój Batalion - aż dziw powiedzieć - w tym dniu szczęśliwie miał straty ograniczające się do jednego zabitego i jednego rannego. A przecież zarówno ogień artyleryjski jak i z broni maszynowej był wcale... wcale... Jeżeli można mówić o fortyfikacjach w Libii, to właśnie w tym miejscu były one bardzo silne.

Los chciał, że później jeszcze broniliśmy tego grzbietu,na którym "maglowało" nas mocno lotnictwo niemieckie i włoskie, zrzucając potężne "kuferki" i "piguły", jak gwara żołnierska określa bomby lotnicze.

Dnia 24 marca 1942 r. Samodzielna Brygada Karpacka została wycofana z linii bojowej na reorganizację. Brygada nasza, zaprawiona w walkach pustynnych, posiadająca duże doświadczenie, w myśl decyzji Wodza Naczelnego stała się zalążkiem i kadrą potężniejszych jednostek wojskowych, zasilanych dziesiątkami tysięcy naszych braci, przybywających z Rosji. Myśli nasze i serca w okresie świeżej pracy organizacyjnej i szkoleniowej jakże często biegły ku Tobrukowi, Gazali i tym wzgórzom i skrzyżowaniom dróg pustynnych o dziwnych arabskich nazwach, gdzie zostało na wieki wielu naszych towarzyszy broni i gdzie tyle krwi polskiej wsiąkło w głodny piasek pustynny...

- No, a tutaj w Stanach, Panie Pułkowniku...?

- Wrażenia nasze? Co tu dużo mówić! Polonia amerykańska przykryła nas poprostu swymi sercami. Moi chłopcy chodzili jak we śnie. Zasypywani nietylko górą podarków, ale otaczani serdecznością i troskliwością, która im przypomniała ciepło dalekiego i rozbitego domu rodzinnego, byli tym wszystkim oszołomieni. Ta serdeczna fala otaczać ich będzie ustawicznie w czasie dalszej wędrówki żołnierskiej, w czasie dalszych walk. Wspomnienia amerykańskie zapadły im głęboko w serca. Przywiozą oni je do Polski. Mógłbym cytować setki wzruszających przykładów troskliwości i opieki, okazywanej nam tutaj przez Polonię. Oto po jednym z wielkich zebrań, zorganizowanych na naszą cześć, kiedy to Polacy amerykańscy mieli możność bezpośredniego zetknięcia się z żołnierzem polskim, zapraszanym zresztą często do domów i goszczonym iście po staropolsku, kiedy to od oficerów i żołnierzy przybyłych z Rosji usłyszeli słowa wdzięczności i podzięki za opiekę, okazywaną braciom naszym w Rosji - kiedy dowiedzieli się, że każdy płaszcz, każda para butów, koszula, sweter, każdy kilogram żywności, witamin, czy każda ampułka leków, jest prawdziwym zbawieniem i błogosławieństwem Bożym, wtedy przeżyłem wzruszającą przygodę. Po zebraniu tym podchodzi do mnie jakiś nieznany mi pan w koszulce z krótkimi rękawami i nie pytając o nic sadza mnie nieledwie przemocą na najbliższym krześle.

- Prawa noga, Panie Pułkowniku! - pada stanowczym głosem wypowiedziana prośba-rozkaz.

Nim się zorientowałem mój nieznajomy ściągnął mi trzewik, by z pudełka, które przyniósł ze sobą, wyjąć nową parę i przymierzyć. Leżały jak ulane.

- Skąd Pan zna moją miarę? - pytam.

- A to już moja tajemnica, Panie Pułkowniku, - odpowiada, jak się później okazało Polak, szewc z New Jersey. Ucałowałem jegomościa z

"dubeltówki".

- A jak się odnosili Amerykanie?

- Wspaniale! Nie mam wprost słów uznania. W forcie, gdzieśmy przebywali, moi chłopcy byli benjaminkami wszystkich. Piwa dostawali tyle, że musiałem konsumcję ograniczyć, bo by chodzili nieustannie "pod gazem". Jeden z sierżantów armii amerykańskiej, który ożeniony jest z Polką, oczekiwał zawsze pod moją kwaterą wieczorem, nawet do późnej godziny, by wręczyć mi...cygaro! Nie pomagało, że za każdym razem, dziękując zapewniałem go, że cygar nie palę. Następnego wieczora wręczył mi nowe. I tak przez cały czas pobytu. A general armii amerykańskiej, któremu podlegał fort, po defiladzie moich chłopców, którzy - może Pan sobie wyobrazić - jak maszerowali, ściskając mi rękę oświadczył, iż pragnąłby, by kiedyś mógł walczyć pod dowództwem polskim... Będą to dla nas niezatarte wspomnienia, które umocniły w nas głęboką wiarę, że Stany Zjednoczone, oceniając należycie polski wysiłek zbrojny, nie dadzą zrobić krzywdy Polsce. No cóż! Toby było wszystko...Aa... jeszcze jedno... Jak Pan moje wrażenia opisze tak, że siebie nie poznam - tu uśmiechnął się dobrotliwie - to niech Pan egzemplarz prześle mojej żonie... Zostawiam jej adres. Bo widzi Pan, jadę teraz na krótki urlop, by ją odwiedzić, a że z moim sercem nie bardzo tęgo, bo w czasie podróży było tak źle, że w ciągu 7 dni już nawet moich oficerów do mnie nie dopuszczali, więc nie wiadomo, co przyszłość przynieść może. Niech tam sobie moja stara przeczyta... A po urlopie jazda do domu... do swoich chłopców..."gdzieś na średnim wschodzie".

Serdecznie i długo uścisnąłem rękę tego żołnierza sprawy polskiej który, nim los pozwoli mu wrócić do wolnej Ojczyzny, za dom swój uważa namioty obozowe gdzieś w pustyni, a za rodzinę poza żoną i dziećmi - swoich chłopców.

Tadeusz Strzetelski

Boje 1-ej dywizji grenadjerów polskich we Francji w 1940.

Gdy dziś, przy końcu trzeciego roku wojny, robimy przegląd wydarzeń tej nowej walki Polski o niepodległość, musimy stwierdzić, że rola sił zbrojnych polskich, walczących zagranicą, wybija się na pierwszy plan. To też chętnie wracamy myślą do pamiętnych chwil tworzenia naszej armii we Francji w 1939 roku i do nieszczęśliwej kampanii francuskiej 1940, w której dywizje nasze nietylko trzymały wysoko sztandar Polski na froncie, ale w sposób zaiste cudowny uratowały honor żołnierza polskiego z chaosu klęski francuskiej, gdy odmówiły kapitulacji i przedzierały się przez pierścień otaczających ze wszystkich stron wojsk niemieckich, co w znacznej części zostało uwieńczone powodzeniem. Podaję krótki szkic dziejów jednej z tych dywizji, mianowicie 1-ej dywizji grenadjerów we Francji.

Jeszcze nie przebrzmiały strzały ostatnich oddziałów wojska polskiego na ziemi polskiej, jak już w październiku 1939 gen.Władysław Sikorski, Szef Rządu R.P. utworzonego w Paryżu, rzucił hasło organizowania nowej armii polskiej we Francji. Lotem błyskawicy obleciało to wezwanie obozy naszych żołnierzy internowanych na Węgrzech i w Rumunii, głośnem echem odbiło się w deptanej przez najeźdźców Polsce. Ani straże nieprzy-

jacielskie na granicy polskiej, ani druty kolczaste i karabiny maszynowe obozów internowanych, ani sieć szpiegowska niemiecka w krajach neutralnych nie były w stanie powstrzymać strumienia żołnierzy polskich zdążających do Francji - napływali oni tak szybko, że szczupłe jeszcze ramy nowej armii nie mogły ich wszystkich wchłonąć.

Przyjechałem do Paryża w końcu listopada 1939 r. z obozu internowanych w Rumunii i 12 grudnia otrzymałem nominację na dowódcę nieistniejącego jeszcze 1-go pułku artylerii ciężkiej. Wkrótce pojechałem do Bretanii i 2-go stycznia 1940 otrzymałem pierwszych 120 żołnierzy ubranych w połatane niebieskie mundury i bez płaszczy, pomimo srogiego zimna, ale patrzących wesoło i dopominających się o działa, których jeszcze nie było.

Pułk mój miał wejść w skład 1-ej dywizji grenadjerów. Długo trzebaby opisywać, jakie braki i trudności musieliśmy przezwyciężać, bo Francuzi sami nie mieli ekwipunku i uzbrojenia więc niewiele mogli nam dać, ale 20 kwietnia 1940 1-sza dywizja grenadjerów była zupełnie sformowana i wyjechała do strefy armii na południe od Nancy w Lotaryngii, pod dowództwem pułkownika a później generała Bronisława Ducha, aby tam zakończyć swoje przeszkolenie.

Wypadki potoczyły się szybko i w połowie maja sytuacja na północy Francji stała się tak niebezpieczną, że Francuzi zaczęli przerzucać masowo wojska na północ od Paryża i bardzo osłabili nasz front. Wówczas przyszedł rozkaz wysunięcia na front artylerii 1 dyw. gren., to znaczy 1-go pułku artylerii lekkiej /płk.S.Brzeszczyńskiego/ i mojego 1-go pułku artylerii ciężkiej.

Walki artylerii 1-szej dywizji grenadjerów na linii Maginot od 28 maja do 14 czerwca 1940.

Po kilkudniowym marszu doszliśmy do wyznaczonego nam odcinka linii Maginot, t.z. "ufortyfikowanego odcinka Sarre", niedaleko od zagłębia Sarre, i zajęliśmy stanowisko ogniowe.

Ze zdziwieniem przyglądaliśmy się tej tak osławionej linii Maginot. Nie było tam wielkich fortów betonowych najeżonych ruchomymi armatami i sięgających na kilka pięter pod ziemią, których fotografie oglądaliśmy w pismach ilustrowanych. Były tylko okopy ziemne, małe schrony betonowe lub przykryte okrąglakami drewnianymi, druty kolczaste, przeszkody przeciw-czołgowe w postaci nawodnień, rowów i szyn w betonie. Nie wszystkie moje baterie miały schrony dla obsługi i tylko jedna miała schrony betonowe. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że nasz odcinek Sarre jest przerwą 20-to milową we właściwej linii Maginot i że został ufortyfikowany śpiesznie dopiero z początkiem wojny.

Nasze pułki artylerii lekkiej i ciężkiej utworzyły mieszane zgrupowania z zadaniem wspierania piechoty francuskiej, także moje zgrupowanie składało się z 1 dywizjonu haubic i 1 dywizjonu armat 75, podobny skład miało zgrupowanie płk.Brzeszczyńskiego.

Pierwsze dni były spokojne, lecz już na początku czerwca Niemcy ożywili się. Ich artyleria coraz gęściej ostrzeliwała nasze stanowisko, a patrole piechoty coraz bliżej i natarczywiej podchodziły pod francuskie czaty przed główną pozycją. Wkrótce zaczęto metodyczną likwidację czat francuskich za pomocą krótkich uderzeń na odosobnione ośrodki oporu poprzedzanych silnym ogniem artylerii /głównie artylerii piechoty/.

Artyleria polska, która próżno wypatrywała Niemców w ciągu ostatnich dni maja, ucieszyła się bardzo z tego ożywienia na froncie. Zaczęło się prawdziwe polowanie na niemieckie oddziały, kolumny, nawet niewielkie patrole, gdyż zapasy amunicji były nieograniczone. Nasi

młodzi oficerowie doszli do znakomitej wprawy w szybkim strzelaniu i żaden ruch niemiecki nie mógł ujść ich uwagi, tak że po kilku dniach Niemcy, początkowo bezczelni, znikli zupełnie z przedpola i poruszali się wyłącznie pod osłoną lasów, których niestety było dużo, i nocy.

Niestety piechota francuska zachowywała się biernie i nie przeciwnacierała, tak że wszystkie francuskie czaty zostały zlikwidowane do dnia 10 maja i Niemcy nawiązali bezpośrednią styczność z pozycją główną. Od tego dnia zaczął się okres wielkiego napięcia, gdyż byliśmy stale w oczekiwaniu natarcia na pozycję główną.

Dnie 11, 12 i 13 były dniami nieprzerwanego pojedynku artyleryjskiego z obydwu stron i bombardowania naszej artylerii i tyłów przez lotnictwo niemieckie. W dniu 13 czerwca II dywizjon 1 p.a.c. stracił od bombardowania lotniczego kilkudziesięciu ludzi, około 300 koni i kilka samochodów ciężarowych. Natomiast inne jednostki wyszły z bombardowań prawdziwie ręką obronną.

Dnia 14 czerwca wyruszyło ogólne natarcie niemieckie na naszą linię Maginot. Zostało ono poprzedzone ciężkim przygotowaniem artyleryjskim i bombardowaniem powietrznem. Do godziny 10 rano miałem 4 działa uszkodzone pociskami niemieckimi, ale baterię przerywały ogień tylko na chwilę dla ochłodzenia dział. W ciągu 24 godzin dywizjon lekki wystrzelił około 10.000 pocisków, a dywizjon ciężki około 2.700.

Kilka natarć niemieckich załamało się w ogniu głównie artylerii francuskiej i naszej, nareszcie zdołali oni wtargnąć w dwóch miejscach na naszą pozycję główną. Zupełnie przypadkowo w pobliżu tych miejsc znalazły się oddziały naszej 1-szej dyw. gren., która w tym czasie zajmowała już pozycję nieco w tyle za linią Maginot. Te oddziały nasze - niewielki oddział piechoty i dywizyjny oddział rozpoznawczy - szybkim przeciwnatarciem wyrzuciły Niemców z linii Maginot, budząc szczery entuzjazm piechoty francuskiej.

Do wieczora cały nasz odcinek obronny został utrzymany, jednak na skutek ogólnej sytuacji naczelne dowództwo francuskie zarządziło ogólny odwrót armii lotaryngskiej. Tej nocy więc, strzelając do ostatniej chwili, zeszliśmy stopniowo z naszych stanowisk i odeszliśmy do swojej 1-ej dywizji grenadjerów.

Walki 1-ej dywizji grenadjerów w okresie od 15 do 21 czerwca 1940.

W dniu 15 czerwca 1-a dyw.gren. zebrała się w całości, z wyjątkiem dywizyjnej baterii przeciwpancernej, którą dowództwo francuskie przydzieliło czasowo do sąsiedniej 52-ej dyw.francuskiej i która w tej dywizji zginęła. Od 15 do 21 czerwca nasza dywizja stoczyła szereg bardzo ciężkich walk odwrotnych w ramach XX korpusu francuskiego i cofającej się na południe armii lotaryngskiej.

Każdy dzień był inny, inny był teren, inne ugrupowanie dywizji, inny sposób natarcia nieprzyjaciela. Ale były także warunki niezmienne. Nasza dywizja maszerowała całą noc, o świcie zajmowała nową pozycję obronną i biła się cały dzień, podczas gdy piechota nieprzyjacielska podjeżdżała wygodnie samochodami i wypoczęta już od świtu siedziała nam na karku wraz z swoją zmotoryzowaną artylerią. Powietrze huczało od samolotów niemieckich, bombowce ich rzadko zjawiały się w kluczach mniejszych niż po 50 sztuk, ale ani razu nie widzieliśmy w powietrzu francuskiego myśliwca. Niezmienny był także świetny duch żołnierza polskiego,którego nie mogły złamać ani zmęczenie i brak snu, ani świadomość gorszego uzbrojenia, ani nieuniknione ciężkie straty.

Nie mam miejsca w krótkim szkicu na szczegółowy opis tych walk, jednak zatrzymam się na chwilę na szczególnie dramatycznych dniach 17 i

18 czerwca, w których broniliśmy linii kanału Marna-Ren na północny-wschód od Lunéville.

17-go w godzinach popołudniowych Niemcy skoncentrowali znaczne siły na naszym lewym skrzydle i przełamali go, zagrażając całej pozycji dywizji. W tej krytycznej chwili, dowódca dywizji gen.Duch zebrał wszystkie swoje odwody i sam poprowadził przeciwnatarcie, które do wieczora wyrzuciło Niemców, z wielkimi dla nich stratami, poza kanał i odzyskało nasze pozycje.

18-go około godziny 1-ej popołudniu Niemcy przerwali linię Francuzów na obydwu naszych skrzydłach i zagrozili naszej dywizji dwustronnym oskrzydleniem. Wywiązały się ciężkie walki, w których artyleria nasza strzelała do czołgów /tanków/ nieprzyjacielskich z odległości 500 yardów. Najwyższym wysiłkiem dywizja nasza zdołała jednak utrzymać się na pozycji do nocy, gdyż zgodnie z otrzymanym rozkazem wycofała się, często torując sobie drogę poprzez wojska niemieckie.

W dniu 21 czerwca 1 dyw.gren., która straciła tego dnia około 45 procent swych stanów /około 6.000 ludzi/ zajmowała sama jedna ostatnią swoją pozycję w okolicy Raon l'Etape w górach Wogezach /niedaleko miasta St.Dié/, nie mając już żadnych sąsiadów ani na prawym ani na lewym skrzydle. Armia lotaryngska, otoczona ze wszystkich stron przez armie niemieckie była w stanie rozkładu i w dniu tym skapitulowała.

Aby uchronić 1-szą dyw. gren. przed kapitulacją wraz z Francuzami, gen Duch wydał przygotowany już dnia poprzedniego na odprawie dowódców oddziałów rozkaz zniszczenia broni, podzielenia się na małe grupki i przedzierania się przez pierścień niemiecki korzystając z gór i lasów.

W rozmaity sposób wykonali żołnierze ten śmiały rozkaz. Niżej podpisany z swoją grupą 10 ludzi przekradł się w nocy przez linie niemieckie tak szczęśliwie, że nie wywołano ani jednego strzału. Potem wypadło przejść na nogach około 500 kilometrów przez wojska niemieckie,co trwało 3 tygodnie. W jedenastym dniu wędrówki wpadłem z dwoma towarzyszami w ręce niemieckie i zdawało się, że już wszystko było dla nas skończone, ale po 20 godzinach udało nam się uwolnić i z tej opresji. Dziś cała grupa moja połączyła się już znowu z armią polską. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia, niektórzy koledzy spoczywają na wieki w ziemi lotaryngskiej, inni dostali się do niewoli niemieckiej, ale większość żołnierzy 1-ej dyw.gren. uniknęła niewoli niemieckiej.

Jak wiadomo, wszystkie wielkie jednostki polskie zaangażowane na francuskim froncie odmówiły kapitulacji, chociaż dowódcy ich nie mogli porozumieć się ze sobą i każdy działał samodzielnie. 2-ga dywizja, którą kapitulacja francuska zastała niedaleko od granicy Szwajcarii, przebiła się przez Niemców; w całości przekroczyła granicę szwajcarską i została tam internowana. Brygada pancerna gen.Maczka, po chlubnych walkach znalazła się w sytuacji podobnej do 1-ej dyw.gren., otoczona ze wszystkich stron przez armie niemieckie; obrała ona ten sam sposób co 1-a dyw.gren. i przedzierała się przez Niemców małymi grupkami. Gen. Maczek dowodzi obecnie dywizją polską w Szkocji i ma u siebie wielu swych weteranów z Francji.

Jakkolwiek ciężkim ciosem dla nas był upadek Francji i chociaż zapłaciliśmy zań dużymi stratami w wojsku, to jednak udział wojska polskiego w kampanii francuskiej 1940 nie poszedł na marne. Wieść o walkach dywizji polskich i wspaniałej postawie żołnierza polskiego obiegła cały świat i sprostowała wszystkie kłamstwa, jakie wroga propaganda szerzyła o kampanii polskiej 1939. Udział wojska polskiego w kampaniach francuskiej i norweskiej /brygada podhalańska/ w 1940 wraz z działaniami marynarki polskiej na Atlantyku zapisały pierwsze kartki historii sił zbroj-

nych polskich zagranicą w tej wojnie, historii wzbogaconej już dziś przez szeroko znane walki naszego lotnictwa i dywizji karpackiej w Libii. Co jest szczególnie dla nas radosne to to, że po trzech latach walk na różnych frontach świata polskie siły zbrojne, odcięte od Polski, nietylko nie zmniejszyły się, lecz są w tej chwili większe niż były w r. 1940 i zwiększają się stale dzięki armii zwolnionej w Rosji. Tak więc przy końcu trzeciego roku wojny możemy z dumą stwierdzić, że żołnierz polski swoją bohaterską walką poza granicami kraju nietylko zdobył dla Polski wielki i niczem niezastąpiony kapitał moralny, lecz że rosnące siły zbrojne polskie odgrywają coraz większą rzeczywistą rolę w walce o przyszłość świata i Polski.

Pułkownik Włodzimierz Onacewicz

B ó g a d r e s u j e p o c i s k i ..

Przypomniał mi się w owej chwili dawno oglądany film niemieckiego reżysera Murnaua. On właśnie lubował się w takich ponurych obrazach, zasnutych mgłą, z której wyłaniały się niesamowite postacie-ludzie pokraczni podobni do drzew, drzewa sterczące kikutami bezlistnych gałęzi.

Gdyśmy wyjeżdżali z podziemnego garażu w aleje Jerozolimskie, świat tonął w pomroce. Mgła to była dziwna, dławiąca wonią spalenizny, kłębiąca się obłokami czarnemi, deszczem iskier miotająca. Jeszcze się paliły składy towarowego dworca, jeszcze z pustych okien wylatywały języki ognia.

Samochód sfatygowany, z pogiętą karoserią, z wybitą szybą, poznaczony odłamkami szrapneli, skakał po wybojach jezdni, wymijał zwisające liany drutów tramwajowych. Pamiętam że pierwszym znakiem życia w ten pamiętny dzień 25 września o szóstej rano był wyłaniający się z poza dymnej zasłony - zbłąkany koń, utykający na nogę okaleczałą, ociekającą krwią.

Tak się jechało w stronę Marszałkowskiej, jak po trzęsieniu ziemi. Z dali, z ponad szkieletów dworca, coraz to korkociągiem czarnym wybuchał w górę dym ze składu desek na Siennej, co się palił jak niebosiężna pochodnia, przez szereg dni i nocy, kpiąc sobie z kubełków z ziemią i wodą, któremi przeciwstawiano się szalejącemu żywiołowi.

To był mój pierwszy "spacer" po mieście, po strasznej niedzieli, która jeszcze w uszach huczała łomotem ciężkiej artylerii, walącej już ze wszystkich stron w kamienną zaporę miasta. Pierwszy to raz spędziłam noc w piwnicy, która się łączyła podziemnym przejściem z nowiutkim,głęboko w ziemi ukrytym garażem. Bardzo był z niego dumny bogaty fabrykant. Nie przeczuwał, że kiedyś ten garaż przyda się dla kompanii czołgów grudziądzkich, która z niedobitkami żołnierzy, ale już bez czołgów dotarła do Warszawy i - jak mawiała moja Honorata - "wparantowała" się do zacisznej kryjówki. Z tą chwilą kryjówka przestała być zaciszną, bo się zaczęły na nią sypać bomby zapalające, dość zresztą nieefektowne, które potem leżały na szklanym dachu garażu, tworzącym chodnik dziedzińca,niby skorupy rozdartych puszek od konserw.

A w garażu działy się dziwy. Pusty tunel, opróżniony z limuzyn, które uciekały gdzie pieprz rośnie, po rumuńskich szlakach, zamienił się po przybyciu obdartych, wynędzniałych w jakąś gwarną stację przeładunkową. Nie wiem jakim cudem spieszeni czołgowcy zdobyli skądś kilka ciężarówek, dość dziwnych kalibrów i pod gęstym obstrzałem ruszali co-

dziennie w świat, po żywność, którą dowozili na inne posterunki, zabierając po drodze rannych i dostawiając ich do szpitali.

Okolica dworca była szczególnie ulubionym celem niemieckich pilotów, a pociski armatnie też sobie na tej trasie urządzały szatańskie wyścigi. W garażu huczało od motorów, które jednak nie umiały tłumić coraz to potężniejszego grzmotu dział dalekonośnych, ani wycia śmiercionośnych granatów. Dom kołysał się jak okręt na żelbetonowych wiązaniach, frontowa kamienica się wyludniła i ślepemi oczodołami patrzała na ciągnącą od rogatek, już coraz rzadszą i tragiczniejszą falę uchodźców i nieprawdopodobnych wehikułów. Ale w te ostatnie dwa dni i noce oblężenia aleje Jerozolimskie wzdłuż dworcowych torów były opustoszałe i tylko niestrudzone ekipy ochotników biegiem przenosiły rannych na chybotliwych noszach do zapchanej od podziemi do strychu Omegi, gdzie przy świecach i bez znieczulenia robiło się operacje.

W kotłowni naszej kamienicy, gdzie urządziłam posłanie dla matki, żelazne mostki i drabiny dygotały jak w febrze. W pewnej chwili, ślepe przeczucie, jak to mówią, tknęło mnie żeby ją stamtąd wyciągnąć i jakoś odstawić do znajomego domu w Ujazdowskie. Nie - telepatia nie jest czczem słowem. W godzinę później, gdy już dzięki zezwoleniu dowódcy jeden z samochodów jadących po rannych, zabrał nas - kotłownia zatrzęsła się ugodzona pociskiem, który zatoczywszy fantastyczną elipsę ponad wielopiętrową oficyną wpadł jak rakieta w okno piwniczne, w to miejsce, gdzie stał leżak.

Ale w tej chwili mam przedewszystkiem w pamięci nieznanego kierowcę samochodu, młodego podoficera, który na godzinę przedtem odbywał z nami wędrówkę przez płonące, okrwawione, zasypane gruzami miasto, z którego jeszcze nie uprzątnięto trupów. Gdy ten chaplinowski udręczony samochód ruszał z garażu, do wyjazdu się szykowały jeszcze dwa inne ciężarowe wozy. Jeden z żołnierzy miał na głowie siatkę jedwabną, a na zapytanie kolegi czemu nie bierze hełmu, odparł:"Bo chcę mieć w trumnie przyzwoicie uczesane włosy". Powiedział to ze śmiechem, bez fanfaronady, ale zaraz zaklął szpetnie, bo po drugiej stronie ulicy pocisk skosił drzewo, kładąc je na jezdnię białemi bliznami poznaczone.

-Mogą być dumni...Zabijają kobiety, dzieci i - drzewa - psiakrew.

-Który to raz panowie jedziecie? - zapytałam głupio jednego z żołnierzy.

-A bo to kto ma czas rachować? Józek to już chyba był ze cztery razy na Pradze. A mówią, że tylko do trzech razy sztuka. Ale że dzisiaj sztuka będzie przejechać - to sztuka. No, ale swoje trzeba zrobić.

Szofer, co nas miał podwieźć w Ujazdowskie, ale najprzód miał wykonać jakieś polecenie na Królewskiej - rozgadał się dopiero później, w przerwach grobowego milczenia, gdy się nam jawiła koszmarna wizja wielopiętrowych gruzów zalegających niektóre ulice. Na rogu Marszałkowskiej wogóle nie można było sobie dać rady z jazdą. Była to podróż z przeszkodami, jakich nie wymarzył żaden organizator amerykańskiego rodeo. Labirynty barykad z wązkiemi, jak w mrowiskach, przejściami, wyloty ulic zastawione tramwajami, przewróconym wagonem kolejki z ulicy Nowogrodzkiej, kopcami płyt chodnikowych, rozbitych samochodów. Na szczycie jednej z barykad leżał staroświecki powozik. Z rozdartej jezdni wyłaniały się kłębowiska drutów, rur gazowych, niby wypatroszone wnętrzności.

Przez cały czas nie spotkaliśmy ani jednego samochodu. O szóstej rano w pamiętny wrześniowy ranek Warszawa sprawiała wrażenie cmentarzyska. Owszem - minęliśmy kobietę, która wlokła się przed siebie i odmówiła propozycji podwiezienia jej, pozatem jedynym znakiem życia były nieszczęsne okaleczałe konie, wychudzone, upiorne, błąkające się po mieście i psy rasowe tak zaniedbane, że już do kundli podobne, snujące się

żałosnym skowytem wokoło ruin, które pochłonęły ich opiekunów.

Ilekroć przeleciał nad nami ze świstem pocisk, szofer zdawał się dawać susa w bok i zawsze coś zabawnego powiedział.

-Ja naprawdę nauczyłem się wymijać pociski - pochwalił się raz - czasami, zanim nadleci, ja go już czuję w plecach i wogóle wiem, kiedy te ścierwa w naszą stronę mierzą. Jakby za każdy raz ostrzegawcze ciarki chodziły mi po grzbiecie. Myślę, że ja jednak z tego piekła wyjdę cało, co skoro do tej pory...

I opowiedział anegdotę o zburzonem miasteczku, w którem jedyna żywa istota oprócz zwierząt był stary żyd. Żołnierze nie mogli mu się nadziwić. - Przecież świat wali się na głowy, wy tu siedzicie? - A bo proszę panów oficerów - odpowiedział stary - kużda bomba, kużdy śriapnel, to un ma wypisany adres, komu ma co zrobić złego. To jak która bomba jest do mnie adresowana, to ziebym ja się schował na księżyc to una mnie odnajdzie. -

-Więc ja się nie boję - zakończył żołnierz - zdaje się, że ten stary miał świętą rację. Bóg adresuje pociski. Nie ma co się bać. A jeśli się ma wiarę, to i śmierć nie straszna.

Dziwna to była rozmowa. Nie mówiło się tylko o tym, co było najważniejsze, nie mówiło się wcale o Polsce. Mózg nie był w stanie ogarnąć takiej klęski. Wszystko, co się działo, było jakimś "małym końcem świata". Myśl skuliła się w zwojach mózgu. Żyło się tylko odruchami. Śmierć deptała po piętach, więc się ze śmiercią w chowanego bawiło. Tylko chwilami budziła się głucha, może bezsensowna nienawiść do tych, co pomordowali miasto Chopina, Prusa, miasto powstańców 30 i 63 roku, miasto tak nasycone poezją przeszłości, gdzie każdy zaułek grał wspomnieniami...

A tymczasem samochód wspinał się na przeszkody jak mały tank. Jechało się raz na prawo, to znowu niemal przeskoczywszy kupę cegieł i desek - na lewo obok płonącej jak stos Cafe Arabia, buchającej zapachem palonej kawy. Lecznica na rogu zamieniła się w rumowisko. Zamiast dworca otworzył się rozległy plac z zygzakami poczerniałych murów. Na Mazowieckiej buchnął taki słodkawy zaduch spalenizny i trupów, że się jechało jak w cuchnącej mgle, szczypiącej oczy. Koło kościoła Św. Krzyża trzeba było się zatrzymać, bo się spiętrzyła taka góra złomów, przewróconych słupów telegraficznych i splątanych tramwajowych drutów. Tylko Chrystus dalej królował nad schodami kościoła - nie śmiały Go tknąć komety pocisków. Szofer lawirował samochodem niby czołgiem, parę razy zatańczył na dwuch kołach, grożąc wywróceniem kozła, ale dalej pracowicie się wspinał i przełaził przeszkody. Nie przejechał jednak zapory, jaką stanowiły dwie zwalone narożne kamienice przy Chmielnej i Foksalu. Nie wiedzieliśmy wtedy, że pod sześciopiętrowym usypiskiem, które było przedtem solidnym domem aptekarza Malinowskiego, krzycząc o pomoc żywcem zakopani ludzie i że dopiero po wielu tygodniach kilka żywych trupów sinych i na pół obłąkanych wydobędą ekipy ratownicze.

Na Ujazdowskich, gdzie stosunkowo najmniej było zniszczenia, tylko w małej Ziemiańskiej, jak na urągowisko stały trzy porzucone konie przy bufecie i dwa trupy przykryte obrusem spoczywały na ziemi, pożegnałyśmy się z naszym kierowcą, który miał teraz starać się dotrzeć na Pragę. I on rzucił wzrokiem w głąb pozbawionej okien kawiarni, co się w trupiarnię zamieniła.

-Nic, nic, niech pani nie płacze, ja rozumiem, to robi wrażenie. Ale widzi pani, to się tak nie skończy. O nie. Żeby nawet tutaj Niemcy weszli na dobre, to tak się nie skończy. Pani wie przecież - jak to się śpiewa : "nie zginęła, póki my żyjemy."

Gdy się wywindowało chorą matkę do mieszkania krewnej, wróciłam do siebie. Akurat się taka rozpętała zawierucha nad głowami, że się

biegło w zabawnych podskokach, w zygzaki, to znów na złamanie karku.

Na Marszałkowskiej widziałam, jak się ludzie dobierali do sklepu Spiessa, żelaznym łomem otwierając pozbawione szyb odrzwia, wpadłam obok do na pół zburzonej kamienicy i przez labirynt zrujnowanych mieszkań, porzuconych sklepów, omijając spaloną cukiernię Lardellego, co się zamieniła w altanę żelazną - przedostałam się w aleję i wreszcie doszłam do domu. Stał już w płomieniach. Honorata szła płacząc przed siebie.

- A bo co, dom się pali, tom zamknęła mieszkanie i idę.

- No to znaczy, że mieszkanie się nie pali.

- Ale, o! jeszcze jak. Tylko przedpokój w porządku, to zamknęłam drzwi na klucz, o, prosze pani, mogie go oddać, no i idę.

No i co było z taką robić.

Podczas bezładnej bieganiny po kamiennych schodach, wśród płonących klatek pokojów, po trzeszczącej podłodze na wyścigi z rabusiami-uciekinierami z mokotowskiego więzienia, którzy gromadami nawiedzali płonące domy, podczas przenoszenia obrazów i książek na podwórze, nad którem pociski przelatywały tak gęsto, że nawet oficer, usiłujący wprowadzić ład do tego chaosu, awanturował się, żeby się kryć do trzeciej ocalonej bramy - zapytałam, czy samochód wrócił z tym sympatycznym kapitanem. Oficer ściągnął brwi, spochmurniał.

Właśnie mieliśmy wiadomość, że go na Brackiej trafił granat. Starszy strzelec, wracając z Pragi, natknął się na jego wywrócony samochód. Widocznie, gdy go trafiło, wypuścił kierownicę z rąk. Szkoda chłopca. Wspaniały był żołnierz. Zasłużył conajmniej na dwa krzyże walecznych za to, czego dotychczas dokonał. Ale cóż - dodał, krzywiąc się szydersko - ciekaw jestem, kto teraz będzie rozdawać ordery. Chyba już tylko Pan Bóg.

Ludwika Dąbrowa Ciechanowiecka

"Zaczynamy rozumieć Polaków".

Druga połowa września jasno wykazała, że dzień 15 tegoż miesiąca był dniem kulminacyjnym Bitwy o Brytanię i załamał decydująco rozpęd niemiecki. Po tym dniu Luftwaffe nie mogła już okrzepnąć. Naloty jej straciły rozmach, zwiotczały, a gdy czasem jeszcze wybuchały z ostatnią, desperacką wściekłością, brytyjskie lotnictwo łatwo topiło je w krwi i rozbijało w gruzy. Tak np. dnia 27 września Brytyjczycy znowu zniszczyli 116 maszyn niemieckich, Dywizjon 303 - 15. Lecz były to ostatnie porywy. Brytania i jej Imperium ocalały. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, jak blisko Brytania była w owym miesiącu zupełnej klęski: przecież na lądzie nie miała wtedy żadnego prawie uzbrojenia.

Bitwę wygrali myśliwcy. Nie dopuścili Niemców do inwazji. W decydującym dniu dwadzieścia jeden dywizjonów wzięło na siebie cały obuch teutońskiej furii i broniło całej potęgi Imperium. Aż dziś jeszcze, po miesiącach, samo wspomnienie dech zapiera, i wyda się to jakąś przerażającą lekkomyślnością dziejową, jakimś fantastycznym paradoksem: los 456 milionów mieszkańców Imperium zależał od męstwa i dzielności - iluż? dwustu pięćdziesięciu myśliwców: jeden myśliwiec bronił wtedy dwóch milionów mieszkańców Imperium.

Cienką była nić, która trzymała wtedy węzły Imperium Brytyjskiego, lecz nie zerwała się. I co jeszcze ciekawsze, że, nie zrywając się, wstrząsnęła sumieniem świata. Dopiero gdy tych "niewielu" spełniło nad-

ludzkim niemal wyczynem, swój obowiązek, przebudziła się reszta Imperium i zrozumiała istotę wojny; przebudziły się i Stany Zjednoczone. Wtenczas wąziuteńki był to front, broniony przez owych dwustu pięćdziesięciu,lecz jakże ważny, jak brzemienny w następstwa: utorował drogę dla właściwego frontu, stworzonego później przez cały świat. Frontu, idącego od Waszyngtonu, poprzez Londyn, do Moskwy, do Czungkingu. I dopiero uzbrojona sieć całego globu stłamsi Hydrę niemiecką. Lecz wtedy, w sierpniu i we wrześniu 1940 roku, takiej sieci jeszcze nie było. Była tylko cienka, samotna nić. Było ich bardzo, bardzo niewielu.

Między nimi byli i Polacy. Wśród Polaków - Dywizjon 303. Wkład jego do bitwy o Brytanię w jej najważniejszym okresie, wrześniowym,był wspaniały i zdumiewający: "303" zestrzelił trzykrotnie więcej Niemców niż przeciętnie każdy z innych dywizjonów. A przytem miał trzykrotnie mniej własnych strat w stosunku do strat innych dywizjonów.

W liczbach działalność wszystkich polskich myśliwców oraz RAFu we wrześniu przedstawia się następująco:

Dywizjon 303 - 77 zestrzeleń przez Polaków, 17 przez Czecha Frantiska, 14 przez trzech brytyjskich członków dywizjonu. Razem we wrześniu 108 zestrzeleń, a w całej Bitwie o Brytanię 1940 roku - 126;

Dywizjon 302 - 19 i pół zestrzeleń we wrześniu, a w całej Bitwie o Brytanię - 26 i pół.

Inni polscy myśliwcy, rozproszeni po jednostkach brytyjskich - 21 zestrzeleń we wrześniu, a w całej Bitwie o Brytanię - 89.

Razem Polacy we wrześniu 1940 r.: 117 i pół zestrzeleń; reszta Królewskich Sił Lotniczych /RAFu/ miała 846 i pół zestrzeleń, co stanowi stosunek zestrzeleń polskich do innych jak 1 do 7,2. Wypada nadmienić,że poza tym artyleria przeciwlotnicza strąciła 131 maszyn we wrześniu.

Jeszcze korzystniejszy dla Polaków stosunek wykazuje zestawienie zwycięstw w owym decydującym dniu 15 września, kiedy to powyższe dwa dywizjony /nie licząc strąceń innych Polaków w dywizjonach brytyjskich/, tj. "303" /14 zestrzeleń polskich, jedno brytyjskie, jedno czeskie/ i "302" /11 zestrzeleń/, miały razem 25 zestrzeleń polskich, podczas gdy inni zestrzelili 153 Niemców. Zatem wypada stosunek zestrzeleń polskich do innych jak 1 do 6,1.

Nie dziw więc, że polscy myśliwcy są na ustach wszystkich i w sercu każdego Brytyjczyka. Nie dziw, że do Dywizjonu 303 przyjeżdża Naczelny Wódz, by ich dekorować; że przybywa również Brytyjski Król, by uściskać im dłonie. Brytyjskie pióra, co przedniejsze, oddadzą im cześć w publicystyce i będą pisały entuzjastycznie, jak pisał np. przy okazji George Saunders, słynny autor najpopularniejszego w 1941 roku dziełka pt. "The Battle of Britain":

"...Znakomici między nimi /myśliwcami/ są Polacy. Ich męstwo jest ogromne; ich sprawność graniczy z nadludzkim. Polacy oddali wielkie usługi. Wciąż je oddają, i oddawać będą, dopóki zwycięstwo, tryumfalne i zupełne nie opromieni ich skrzydeł.

Zaczynamy poznawać Polaków..."

Więc ostatecznie jacyż są ci sławni myśliwcy z Dywizjonu 303 ? Czy jacyś nadludzie. Jakaś elita, wyszukana na pokaz, dla pięknego symbolu? Jakieś cudowne dzieci, jacyś wybrańcy losu? Otóż, właśnie że nie! Są to zwykli, zdrowi, prości chłopcy. Mają ten sam temperament i te same zmysły, ten sam uśmiech i te same troski co większość innych Polaków; są kubek w kubek podobni do tysięcy mieszkańców z nad Wisły, Bugu i Dniestru; nie różnią się od tamtych niczym, ani cnotą szczególną, ani przywarami. Tylko gruntownie nauczyli się swego fachu w dawnej polskiej

szkole i teraz sumiennie spełniają swój obowiązek - i to jest całą ich tajemnicą.

Że sprawność i rezultaty Dywizjonu 303 nie są niczym wyjątkowym i osobliwym, świadczą podobnie doskonałe wyniki innych polskich myśliwców, walczących w zespołach brytyjskich, jak również świadczy o tym i działalność bratniego Dywizjonu 302. Myśliwcy z "302" zdobyli nawet pewnego rodzaju rekord, bo stacjonując zdala od terenów walki, jednak potrafili zestrzelić 26 i pół nieprzyjacielskich maszyn. A gdy, jak w dniu 15 września, dopuszczono ich raz uczciwie do wroga, zmietli w jednym dniu nie mniej niż jedenaście samolotów.

Dzieje polskich lotników w Brytanii nie było pozbawione cech tragedii, którą nazwaćby można tragedią polską, a która polega na tym, że obce narody, nawet najuczciwsze, snują o Polakach dziwnie mylne pojęcia, często wręcz fantastyczne. Polacy fatalnie siedzą na globie, między dwoma najzachłanniejszymi potęgami świata, o najbezwzględniejszych metodach propagandy. Stąd źródło tylu pomyłek i tylu nieporozumień /i stąd choćby na przykład takie dziwolągi, jak Posen, Lemberg i The Polish Corridor, przemycane do angielskich map. Lecz o tym tylko w nawiasie/.

W lecie 1940 roku decydujące koła brytyjskiego myśliwstwa, w poczuciu ogromnej odpowiedzialności, jaka wtedy na nich ciążyła, miały wątpliwości co do użycia polskich myśliwców w walkach w Anglii, przypuszczając, że Polacy, po dwuch poniesionych klęskach, stanowią materiał ludzki zdemoralizowany i niezdolny do walki na tak ważnym odcinku. Gdy Polaków mimo to dopuszczono, okazało się już po kilku tygodniach, jak mylną była ta ujemna ocena.

Później sądzono, że polscy myśliwcy odnoszą tak wielkie sukcesy bo to szaleńcy i ryzykanci, nie szanujący swego życia. Nieporozumienie: Polaków ginęło stosunkowo znacznie mniej niż Brytyjczyków.

"Polacy, to tylko dobrzy myśliwcy, bo taki jest ich niepowściągliwy temperament!" Nieprawda: liczne i coraz liczniejsze polskie załogi bombowe odznaczają się pracą wyjątkowo precyzyjną i dzielnie sekundują swym brytyjskim kolegom.

"Polacy, to naród wyłącznie lądowy!" Nieprawda: wypada spojrzeć na ducha, ożywiającego nasze "Orły", "Błyskawice" i "Kromanie"; wypada wniknąć w silny, jędrny duch, jaki nabierała i nabiera polska flota handlowa.

Niemcy wciąż wołali i wołają /a świat trochę im wierzył i wciąż wierzy/, że Polacy to naród nierządny, nietwórczy, niezdolny do pracy organizacyjnej. Tymczasem Gdynia w dziesięć lat po powstaniu państwa polskiego rozrosła się z wioski rybackiej do największego na Bałtyku portu, prześcigając ruchem handlowym - tak, prześcigając! - Szczeciny, Sztokholmy, Leningrady; na południu Polski zaś powstawał w tempie amerykańskim Centralny Okręg Przemysłowy, ośrodek prawdziwej potęgi - dziś stłumiony przez Niemców.

Drugi sąsiad tysiąc razy powtarzał i powtarza światu, że Polacy to naród wstecznych obszarników i romantycznych, zarozumiałych panów. A tymczasem Polska miała ustawy społeczne bodaj czy nie najszerzej i najhumanitarniej rozbudowane z całej Europy.

Naród panów: wszyscy niemal polscy lotnicy, walczący w Anglii, to synowie tak zwanych klas średnich i synowie ludu.

Dość przytaczań!

Gdyby kiedyś polskich lotników zapytano, ile Wielka Brytania jest im winna za ich wkład do wojny i jak ma za to zapłacić, - pytanie, choć brutalne, lecz bardzo ludzkie, - lotnicy szeroko otworzyliby oczy i może żachnęliby się dotknięci: spełniali swą oczywistą powinność jako lojalni sojusznicy Brytanii i zapłaty od niej nie chcą.

Lecz potem, po zastanowieniu się, jednak zażądają zapłaty. Miano wicie zażądają, by Brytyjczycy lepiej poznali Polaków. By poznali ich uczciwie, serdecznie, dokładnie, na wskroś, bez uprzedzeń; by poznali takich, jakimi Polacy rzeczywiście są, a nie takich, jak ich malują i jak chcą mieć nieżyczliwi sąsiedzi.

Wtedy napewno Brytyjczycy odkryją, że naród, żyjący dokoła Wisły jest akurat taki sam, jak wszystkie inne zdrowe i cywilizowane narody, ani nie gorszy, ani nie lepszy. Że przeciętny Polak to właśnie taka sama dusza jak przeciętny Mr. Brown w Londynie, Mr.Bruce w Edynburgu czy Mr. Taylor w Chicago. Że tak samo jak oni wierzy w niezmienność wielkich moralnych wartości ludzkich i nie będzie umiał łamać swego słowa ani płodzić Quislingów. A ponieważ Polacy jako naród niczym istotnym nie różnią się od innych uczciwych narodów, mogą po wojnie znakomicie przydać się całej ludzkości, nie w pięknych manifestach i w górnolotnych zamiarach, lecz czynnie i realnie, tak samo czynnie i realnie, jak lotnicy ich przydali się Brytanii w jej najcięższym miesiącu istnienia. Byleby nie decydował o ich losie ktoś, kto ich nie zna.

Tego żądają polscy lotnicy w zapłacie: uczciwego i rozumnego spojrzenia na Polaków.

Arkady Fiedler

Żołnierze i poeci.

Siedzę z młodym żołnierzem polskim, który był w Tobruku, który ma z tego pobytu na całe życie pamiątkę: ciężką ranę nogi od wybuchu miny. Siedzę i rozmawiam bezładnie o wszystkiem, starając się mówić jaknajmniej, a jaknajwięcej słuchać.

Jestem tak wzruszony, że właściwie rady sobie dać nie mogę i robię wszystko, aby ukryć to wzruszenie, aby nie pokazać się źle przed tym chłopcem, który tyle przeszedł /bo przecież do owego Tobruku i do owej miny trzeba się było dostać z Polski/, a który mówi o tych wszystkich awanturach, godnych Sienkiewicza, jakby nic w nich nie było nadzwyczajnego, nic zwłaszcza bohaterskiego. Co on sobie o tem myśli, to inna sprawa, ale czuję nieomylnie, że uważałby to za największą niedyskrecję,gdyby go ktoś potraktował jak bohatera.

Staram się więc i ja mówić tak, jakby mi się to wydawało zupełnie naturalne, że chłopcy kilkunastoletni, ryzykując zastrzelenie na granicy, marznąc na tatrzańskich szczytach a później jakiemiś, krzyżowe wyprawy przypominającemi drogami, drogami szli o głodzie i chłodzie, szukać najdroższych dla każdego Polaka śladów polskiego wojska. Spokojnie, jak przystoi w tej rozmowie, dopytuję się jak to było, że owe polskie dzieci, polscy chłopi i polskie zatracone inteligenty w binoklach jeszcze raz zrobiły, tym razem w Afryce to, czego nikt inny zrobić nie umiał słowem nową, sakramencką Somo-Sierrę.

Ale mówiąc tak spokojnie, wchodząc, mam wrażenie jak należy, w ton tej rozmowy, czuję się w głębi roztrzęsiony, rozbity, jakbym naraz dowiedział się, że jutro wracamy, albo jakbym nagle zobaczył wieżę Mariacką, pagórek nad Wisłą pod Hebdowem albo babę na wozie z mlekiem w zimowy poranek pod Warszawą.

Bo oto słowa młodego żołnierza, nietylko te o Tobruku, o generale Kopańskim, o którym po wieki wieczne niech pieśń gwarzy i odzywa się różna piosenka, ale wszystkie, wszystko co mówi o kolegach, o ważnych

przeżyciach i o małych wstydliwych kłopotach - wszystko to zdaje się przychodzić poprzez tysiące zakrwawionych mil z owego życia, którego nigdy i nic nam nie zastąpi, o którego jednej prawdziwej minucie marzymy jak spragniony o wodzie: wszystko jest jakieś prawdziwe, rzeczywiste, z głębi życia, ze wspólnych uczuć wydarte.

To nie żaden frazes, żadna poezja, ale prawda piękna, a wstydząca się wielkich słów, że pod namiotami Tobruku, w barakach niebywałej, anhellicznej, biblijnej i sienkiewiczowskiej zarazem armii generała Andersa jest Polska, że to polski żołnierz niesie ją w sobie i w każdej chwili czuje i myśli tak, jakby był w Warszawie, jak ci, co są w Warszawie.

Młody żołnierz, z którym rozmawiam pisze wiersze i zna na pamięć mnóstwo wierszy, wybieranych własnym, niezależnym od szkolnych rang i kryteriów gustem. Mamy za mało czasu, abym mu tłumaczył, co sam kiedyś napewno zrozumie, że Mickiewicz jest naprawdę największym poetą polskim; z ciekawością dowiaduję się, że jego mistrzem jest Kasprowicz, dziwię się różnym jego upodobaniom, w których przecież przebija istotne przeżycie poezji, prawdziwa jej potrzeba, tęsknota do niej, jak tęsknota do kraju, wlokąca się za młodym żołnierzem, towarzyszka jego marszów i parnych nocy na pustyni.

Wiem, że młody strzelec z Tobruku jest w dziedzinie poezji początkującym wprawdzie, ale fachowcem, że więc nie jest żadną miarą dla ogółu polskiego wojska, rozumiem to doskonale, że większość żołnierskich a nawet generalskich uszu strzelisty a dobrze pieprzony żart milej brzmi niż dźwięczna, koturnowa strofa pozafrontowych wieszczów, zdaję sobie sprawę, że jest w naszem wojsku mnóstwo dzielnych, rozgarniętych chłopców, którzy szczypią się w łydki, aby nie chrapnąć przy słuchaniu poetycznych deklamacji.

A mimo to czuję jak każdy z nas, że jest jakiś związek prawdziwy i głęboki w naszem jak w żadnem innem wojsku, między żołnierzem i poezją sprawiający, że mój poeta z Tobruku, jeśli jest nawet wyjątkiem, jest wyjątkiem typowym dla tego wojska, że bez tych wyjątków nie byłoby ono tem czem jest, że on i jemu podobni są w tem wojsku czemś niezbędnem, co ma swój głęboki sens, co od stu lat nadaje styl naszej armii, co tak samo jak wariacka, ułańska odwaga naszych lotników czy podhalańczyków jest częścią tradycji i duszy polskiego wojska.

I przypomina mi się w tej chwili z przed piętnastu przeszło lat czerwcowa ulewa, jak to bywało w Polsce, kiedy zdawało się, niebo łączyło się z ziemią strugami wody, poprzez które nic nie było widać i kiedy statek, wiozący trumnę Słowackiego powoli w tej nagłej ciemności sunął przez Wisłę wzdłuż starych piastowskich brzegów.

Na przebycie niewielkiej przestrzeni od Gdyni do Warszawy mieliśmy przeznaczonych osiem dni czasu, w których przewidziane były różne atmosferyczne przeszkody, trudności na mieliznach; w zależności też od owych trudności porozumiewaliśmy się z poszczególnemi nadbrzeżnemi miastami i ustalaliśmy godziny postojów.

Tego dnia wszystkie plany i obliczenia wzięły w łeb: niesposób było przewidzieć jak długo trwać będzie ów potop, nic nie można było ustalić, wszystko było w niepewności i zawieszeniu; statek wlókł się jak żółw, przystając co chwila, a tymczasem w Grudziądzu, Nowem i Toruniu burmistrze rwali sobie włosy z głów i cechy ze sztandarami obozowały po bramach. I oto po paru godzinach tego wleczenia się wśród ulewy i w ciemności doszły nas nagle z brzegu odgłosy strzałów. Nie pamiętam wiele ich było, ale nie było ich napewno mniej niż się należy generałowi, walono tak, że ów dychawiczny "Mickiewicz", na którym /o wspaniała ironio!/ Słowacki wracał do Polski zdawał się trząść i podskakiwać na wodzie.

Pod deszczem, siekącym jak ze strażackiej sikawki, na pustym brzegu, o parę kilometrów oddalonym od najbliższej osady, wyciągniętym, długim sznurem, wyprężeni, ubrani odświętnie stali kadeci z pobliskiej, nie pamiętam już gdzie mieszczącej się szkoły i salutowali trumnę. Na ich czele stał staruszek osiemdziesięsioletni, wyciągnięty jak struna i starający się tą swoją postawą pokazać jak bardzo odczuwa, co się przed nim dzieje: generał Trzaska-Durski, były austriacki komendant Legionów, dożywający swych dni w nagle odczutej radości i dumie z noszonego polskiego munduru.

I kadeci i stary generał nie wiedzieli, o której statek będzie przejeżdżał, nie liczyli też na to i nie dopominali się, aby zatrzymał się koło nich, to też aby nie chybić jego przejazdu musieli parę godzin stać na deszczu. I stali. I kiedy Słowacki ich mijał, zlani do suchej nitki, wyglądali mimo to jak na najwspanialszej paradzie, przejęci, jakby na nich patrzał wódz naczelny i zwycięski.

W parę dni potem, gdyśmy w zapadającej nocy podjeżdżali do Modlina - znów zabrzmiały strzały, ale tym razem nie z jednej wiwatówki i nie dwadzieścia, nie pięćdziesiąt ale, bo ja wiem, może sto czy dwieście, bez jakiegokolwiek względu na protokół, z jedną tylko myślą, aby wojsko polskie pokazało, że wie kto to był Słowacki i że nie samą tylko musztrą żyje. Poprostu po obu brzegach Wisły, co parę kroków ustawione były jakieś artyleryjskie cuda, które waliły bez przerwy i rachunku, a jednocześnie saperzy puścili na wodę tysiąc najwspanialszych fajerwerków tak, że ciemną nocą płynęliśmy w jarzącem świetle ich w takim huku, że o dwa kroki nie słyszeliśmy słowa i chwilami mieliśmy wrażenie, że Słowacki nie dojedzie do Warszawy i spotka go po śmierci los królewny Wandy.

W Modlinie wsiadł na statek generał Wróblewski, komendant korpusu warszawskiego, ażeby złożyć na trumnie wieniec od wojska. Zacierał ręce /co nie było żadnem świętokradztwem, zważywszy, że Słowacki umarł niemal przed wiekiem/ promieniał z radości, że wojsko postawiło na swojem, że nie dało się zakasować cywilom. "A co?" mówił do mnie, który jako przedstawiciel literatów towarzyszyłem trumnie z Paryża - "Pięknie było? Zadowoleni jesteście z wojska?"

Wtedy jak i dziś nie byłem wcale pewny czy generał Wróblewski jak i staruszek, generał Durski, jak też saperzy, puszczający fajerwerki i artylerzyści, stojący przy armatach przejmowali się szczególnie poezją Słowackiego, albo jakąkolwiek inną.

Ale jestem pewien, że jak cały wtedy naród oni szczególnie i z całego serca chcieli wtedy oddać hołd tej sile, nie dającej się nazwać ani określić, którą nie jest ani ziemia ani naród ani jego historia, a która jest tem wszystkiem razem i jeszcze czemś więcej, sile która jednoczy naród polski, czyni mu lekkiemi ofiary, niepojęte dla innych narodów i która do takiego przepychu wzniosła polską poezję i do takiego bohaterstwa popycha polskich żołnierzy.

Zawsze, ilekroć polskie wojsko idzie w marszu, maszeruje wciśnięty w żołnierski szereg jakiś Krzysztof Cedro albo Władek Broniewski, rozmarzony, pełen wspomnień, albo jakiś kapitan Godebski albo jakiś Mączka prowadzi oddział, składając w myślach rymy i niosąc w sercu wizję wczesnej śmierci. I idąc tak, nie czują się pokrzywdzeni ale wybrani przez los i wojna okrutna zdaje im się nietylko ciężkim doświadczeniem, ale i objawieniem głębokich prawd życia, okazją do pokazania się człowiekiem. I ich to myśl, ich uczucia tak samo jak donośny głos kaprala, jak dźwięk trąbki niewidzialne,przenikają idący szereg i formują krok żołnierzy.

I kiedy nie przychodzą listy, kiedy chciałoby się a wstyd żalić się i wspominać, kiedy przychodzą długie, najgorsze, pełne złych myśli

dni żołnierskiej bezczynności, stary sybaryta Sienkiewicz, który prochu nie wąchał, ileż to razy jest największą pociechą, a dla iluż jak Cedro, jak Mączka marzycielskich - szemrzący, pachnący starym ogrodem wiersz miłosny - jedynym powiernikiem.

I któżby znał dolę nie świetnych wodzów, po których płacze sława nie błyszczących bohaterów, których naród ze czcią przechowuje imiona, ale bezimiennych robotników wojny, kładących swe kości na wszystkich polach bitew Europy, gdyby słowo braterskie, cudowne i czyste, jak słowo Stefana Żeromskiego, nie otwarło tych grobów i nie wysławiło tej śmierci.

I dlatego żołnierz polski i poezja polska są złączeni naprawdę nietylko odświętnem, obchodowem słowem, ale i samą istotą tego czucia, w którem wszystko, aby było wielkie, musi być skromne, bez korzyści i prawdziwe.

Jan Lechoń

C h ł o p i .

/Według opowiadania szeregowca M./

Wojna z Niemcami odkryła w Polsce nowe wojsko - chłopów. Można tak się wyrazić nietylko dlatego, że w przeważnej części wypełniali szeregi regularnej armii, ale także z innych względów. Choć w słownictwie wojskowem daremnie szukać nazwy dla tej współpracy, potwierdzał ją każdy dzień i każda noc naszego września. Chłopi stali się "wojskiem do wszystkiego".

Gdy wojna zaczęła przerzucać nasze oddziały z miejsca na miejsce i gdy w ciągu doby trzeba było przesuwać się o dziesiątki kilometrów, zabrakło wojsku map. Chłop stał się wtedy mapą, kompasem i przewodnikiem. Prowadził oddziały nieomylnie, jemu tylko znanemi drogami, pierwszy na czele pochodu. Żołnierze uważali go za najlepszą busolę i nazywali "polskim Bezardem". Gdy postój wypadał w nieprzewidzianej okolicy, chłop obejmował kwatermistrzostwo. Gdy oddziały traciły łączność z bazami zaopatrzenia, chłop był ich prowianturą. Gdy zabrakło sanitariuszy, chłop pełnił ich służbę a dom jego stawał się szpitalem. Działo się to bez przymusu, "wojsko do wszystkiego" było ochotnicze.

Kiedy w końcu wojny Niemcy i Rosjanie zalali Polskę, żołnierze którzy nie chcieli się poddać - a było ich tysiące i dziesiątki tysięcy- znaleźli u chłopa wszystko: schronienie, poradę, przebranie i pomoc w ucieczce. Nieznany mieszkaniec niewiadomych wsi sprowadzał do domu ludzi tułających się po lasach, odkarmiał ich, przyodziewał, wyposażał na drogę. Potem przekazywał ich z rąk do rąk, póki nie dotarli do miejsc przeznaczenia. Działał sprawnie i dokładnie, niczem ukryte przed wrogiem a sprzymierzone z wolnością biuro podróży.

Chłop przechowywał również broń. Nie niszczył jej ani jako żołnierz gdy rozwiązywano oddziały, ani po zaprzestaniu walk, gdy składano mu ją ufnie jako współspiskowcowi. Ziemia nasza stała się potajemnym arsenałem.

Zdarzało się także, że ten wszechstronny żołnierz armii do wszystkiego szukał bezpośredniej rozprawy z Niemcami. Szczególnym wrogiem chłopa stał się najgorszy z rozbójników niemieckich, lotnik. Już pierwszego dnia wojny, gdy wódz Niemców, otwierając ją uroczyście, zapowiedział w Berlinie, że "nie będzie wojował z kobietami i dziećmi", wiele polskich kobiet i dzieci nie wróciło z pól chłopskich do domu. Pozos-

tały bez życia przy stogach siana, w brózdach ziemniaczanych, na pastwiskach przy pobitem bydle, upolowane z powietrza przez lotniczych myśliwców. Poza Polską, śród spokoju świata zaskoczonego wojną, nikt nie chciał wierzyć w podobne okrucieństwo i wiadomości o niem poczytywał za zmyślone klechdy. Znalazły się jednak zdjęcia obcokrajowych świadków, przerażające widoki niezawinionej śmierci, których nie zapomni chyba nikt, kto je oglądał. Wszelkie słowo jest przy nich zbyteczne.

Ale chłop nie darował tej zbrodni. Wyłapywał skoczków spadochronowych, tropił dywersantów i nawet wobec lotników zaznał rozkoszy zemsty. Długo szukałem autentycznego potwierdzenia tych wypadków, aż udało mi się spotkać naocznego świadka jednej takiej bitwy. Jeśli można jeszcze użyć postarzałych słów o gniewie ludu walczącego z niedosięgłą przemocą, to chyba w odniesieniu do tego starcia - i to dosłownie, bez przenośni. Zdarzenie, w którym uczestniczył mój znajomy, nie należy jednak do zagadek ani do fenomenów tej wojny. Utrwalam je dlatego, że śród wielu legend było prawdziwe i śród wielu doświadczeń wiąże się wprost z samym losem polskim. Oto co opowiadał mi szeregowy M., później głośny polityk na emigracji.

Dziewiątego września znalazłem się między Warszawą a Lublinem, koło pewnej wsi, której nazwy wolę nie wymieniać. Służyłem w polowej składnicy map. Oddział mój jechał do Lublina, do głównego składu Wojskowego Instytutu Geograficznego. Nastał prześliczny ranek, mogło być koło dziewiątej, nie chciało się myśleć o wojnie. Ale ona szła za nami krok w krok. Wieś przez którą przejeżdżaliśmy, była właściwie bolesnem wspomnieniem wsi. Zostały w niej szkielety ścian i stosy rozwalin. W powietrzu pachniało spalenizną, gdzieniegdzie dymiły się zgliszcza. Szosa, przepełniona uchodźcami, biegła śród podwójnego szpaleru tego zniszczenia, pochód nasz toczył się wolno, przystając co chwila. "Kiedy was podpalili?" zawołałem do chłopów stojących przy jakimś żórawiu studziennym. "Palą nas codziennie" - odpowiedział któryś.

Na tym studziennym postoju szeregowy poznał całą wojenną historię wsi, podobną zresztą do setek innych. Lotnicy niemieccy nie przelecieli nad miejscowością, by nie obrzucić jej bombami. Gdy się spaliła doszczętnie, bombardowano pogorzeliska. Prócz bombowców nadlatywały samoloty myśliwskie i siały kulami po każdem żyjącem stworzeniu. Ataków tych oczekiwać można było w każdej chwili, regularnie powtarzały się dwa razy dziennie, rankiem i pod wieczór. Początkowo chłopi myśleli, że to szosa pełna pojazdów przyciąga lotników. Niemcy jednak atakowali wieś nawet wtedy, gdy na drodze nie było nikogo. Ludność chroniła się do lasów, wracała by gasić wybuchające pożary, wkońcu gdy wszystko legło w gruzach snuła się po rozbitem osiedlu niepomna na niebezpieczeństwo.

-Słuchałem tych opowieści - ciągnął M. - i czytałem w twarzach chłopskich to co przemilczeli. Znam ich dobrze, sam się z nich wywodzę. Wiem co znaczy chłopski gniew i co znaczy chłopska wytrwałość. Gdyśmy tak rozmawiali, unosili głowy, wodzili oczami po niebie. W gromadzie stał starszy już gospodarz, w niebieskich, płóciennych spodniach, koszulę miał rozpiętą na piersiach. Milczał przez cały czas i dopiero pod koniec rozmowy odezwał się twardym, ponurym głosem: "Wczoraj napadli na wieś, zabili nam trzy dziewczęta, jednemu chłopcu obcięło nogę jak nożem." Po gromadzie poszedł jakiś stłumiony szept. "A dziś - powiedział jeszcze - tylko ich patrzeć. Szosa pełniuteńka..."

Oddział szeregowego M. ruszył z miejsca, cały pochód potoczył się dalej.

-I co pan na to powie - opowiadał mi M. - w tej samej chwili, bo nie wiem czy upłynęła minuta, rozpoczęło się zapowiedziane widowisko. Daleko mi było wtedy do myśli o teatrze ale tylko tam wypadki mogą postę-

pować w podobnej kolejności. Jeszcze brzmiało mi w uszach, że "tylko ich patrzeć", gdy nagle usłyszeliśmy szum motoru i spostrzegliśmy samolot niemiecki. Karawana drgnęła, rozległy się krzyki i nawoływania. Samolot leciał wzdłuż szosy, nie szybko i nie wysoko. Ale już po odgłosie motoru odgadliśmy, że przybywa bez rozbójniczych, tym razem, zamiarów. Nie był to dźwięk maszyny posłusznej pilotowi, równomierny, z pełnego gardła. Przeciwnie, motor zacinał się, dławił i strzelał gwałtownymi wybuchami. Niespodziewanie odezwała się nasza artyleria przeciwlotnicza, biła tuż przed nami, zdawało się wprost ze szosy. Pociski zaczęły pękać koło Niemca. Ale samolot nie zwiększył szybkości ani nie uciekał w górę. Zniżał się coraz bardziej, jakby szukał miejsca lądowania. Potem nad równem ścierniskiem skierował się ostro do dołu. Był od nas może o kilometr.

-Wyobrażam sobie wasze poruszenie.

-Paniki nie było. Pochód stanął. Wyskakiwaliśmy z wozów, ktoś krzyknął: "brać go żywcem, brać go żywcem". Wtedy właśnie rozegrała się ta chłopska bitwa. Gdyśmy ruszyli w stronę samolotu, spostrzegłem że ktoś nas wyprzedza i że jesteśmy jakby w drugiej linii. Przed nami byli już chłopi. Moi przygodni znajomi z pod wodopoju biegli pierwsi. Stary gospodarz w niebieskich portkach dawał rękami znaki innym ochotnikom ze wsi niby dowódca ataku. Było ich razem może dziesięciu.

-Bez broni?

-Rzucili się naprzód jak kto stał ale pamiętam, że kilku miało w rękach widły i łopaty. Zabiegali z boku drogę samolotowi, który toczył się i podskakiwał gwałtownie na ściernisku. Artyleria przestała strzelać Chłopi rozsypali się w tyralierę, atakowali po wojskowemu.

-A Niemiec?

-Gdy maszyna stanęła, oderwał się od niej ruchomy punkt. Biegliśmy wszyscy co tchu w piersiach. Pilot wyskoczył i skrył się za kadłub samolotu.

-Nie poddał się?

-Nie, zaczął strzelać. Chłopi okrążali już samolot, strzały były niegłośne, seryjne, pomyślałem: pistolet automatyczny. Jeden z chłopów obsunął się na ziemię i wolno przewrócił twarzą do góry. Dobiegaliśmy już do samolotu. Widać było lotnika w oficerskim mundurze jak strzelał wprost przed siebie. Chłopi szli kołem naprzeciw.

-Mógł ich przecież wszystkich wybić!

-Uskakiwali przed strzałami, przypadali do ziemi i znowu podbiegali. Jak na wojnie. Wreszcie jeden dopadł Niemca, dźgnął go, potem doskoczyli inni. Gdyśmy się znaleźli przy maszynie, było po wszystkiem.

Mój znajomy opowiadał dalej, że teraz, na tem pobojowisku, nie mógł się z nikim dogadać. Chłopi pokrzykiwali i nawoływali się pomiędzy sobą. Nie patrzyli na obcych, nie zwracali na nikogo uwagi, jakby to była ich własna sprawa. Stary gospodarz odpędzał nadciągających, którzy cisnęli się na miejsce rozprawy. Nawet przed wojskowymi nie mieli respektu.

-To było tak - powiedział - jakby chcieli być tylko sami. Zachować dla siebie całe to zdarzenie. Wczoraj zabijali ich, nikt ich nie zdołał obronić; dziś pomścili się oni, co komu do tego!

Okazało się, że z pośród atakujących trzech było rannych, jeden pozostał bez życia na polu. Minęła długa chwila, zanim sobie to uświadomili. Ranni pomogli jeszcze przenieść zabitego na szosę, potem dopiero dali się sami opatrzeć przygodnym sanitariuszom.

-Nie wiem co tam się dalej działo - ciągnął M. - bo czas nam było odjeżdżać. Karawana ruszyła, utonęliśmy w jej natłoku. Wydawało mi się jednak, że na tem ściernisku wykradłem coś z tajemnicy chłopów, których znam przecież tak dobrze. Jakąś ich przyrodzoną wyłączność, czy ja

wiem, jakąś ich zapamiętałą siłę albo zapamiętałą rozpacz. Mijaliśmy znowu spalone wsie i dymiące zgliszcza, rzadko gdzie można było spotkać ocalałe domostwo. Wzdłuż całej drogi powtarzał się jeden i ten sam widok. Przed rozwalone chałupy wychodzili chłopi, stali milczący, patrzyli długo za odjeżdżającymi. Za wojskiem, za cywilami, za nieskończonym pochodem. Zdawało mi się, że jak tam chcieli zamknąć w sobie swą zemstę i tylko samemu nią się nasycić, tak tutaj też ukryli coś, co im tylko było wiadome. Czy pomyślał pan kiedy co to było? Czy pamięta pan jak na nas patrzyli?

Czy pamiętam? Był to ostatni widok, który wywiozłem z Polski. Widziałem jak z ledwie ostygłych pogorzelisk wygrzebywali ocalałe sprzęty domowe i narzędzia gospodarskie. Uratowany dobytek znosili do piwnic, które miały odtąd stać się mieszkaniem ludzi. Z pól zbierali ziemniaki, wszystko co pozostało im z plonów i żywności. Ale jeszcze bardziej przejmujący był widok tych, co porzucili pracę czy też nie mieli już co robić i stali przed gruzami domostw bezczynni i nieruchomi. Czasem wszedłszy w środek rumowiska, zapominali snać o świecie i trwali tam zasępieni obok sterczących, okopconych kominów. Patrzyli przed siebie nieodgadnionym wzrokiem, podobnym do nieżywego spojrzenia posągów.

Nie rozstanę się chyba nigdy z tym widokiem o sile biblijnych obrazów. Śród tłumów uchodźczych, niby śród koczujących nomadów, zostawali na swych ojcowiznach, jak jedyni prawdziwi tubylcy. Śród ruchu dwu armii, niby śród mijających światów, opierali się wszelkiej zmianie, jak niewzruszeni autochtoni. Za cały kraj brali na siebie nieszczęście, odwet, przetrwanie - zaiste ludzie do wszystkiego. Jeśli nawet nie byli tego świadomi, wykonywali taki wyrok losu.

Czy można o tem zapomnieć?

Kazimierz Wierzyński

Wojsko polskie w malarstwie.

Chwała oręża polskiego wyrażana bywała wielokrotnie nietylko w poezji i literaturze, ale i w rysunku, sztychu i malarstwie. Malarstwo bowiem spełniało nieraz rolę kronikarską. Sława i świetność polskiego wojska stworzona była przez kawalerię polską, przez skrzydlatą husarię, tak piękną po malarsku, której nigdzie indziej nie było na świecie, przez lekkie pancerne chorągwie, przez pułki kozackie i tatarskie, przez szwoleżerów i ułanów, aż do "Beliniaków" włącznie. To też koń w batalistyce polskiej odgrywa pierwszoplanową rolę. Starych grawiur i malowideł polskich zachowało się mało, ale posiadają one wielką wartość dokumentarną. Zwycięstwo zaś Sobieskiego pod Wiedniem dało cały szereg sztychów nietylko polskich, ale i holenderskich, francuskich, niemieckich. Postać polskiego rycerza pociągnęła też swoim wyrazem takiego mistrza jak Rembrandt, który pozostawił słynnego "Lisowczyka".

W Polsce epoka Stanisławowska dała szereg pięknych obrazów, gdzie tematem był wojak i jego koń. Tak malował nadworny mistrz króla Norblin. Za czasów też króla Stanisława Bacciarelli malował portrety generałów, wodzów. Po nich przyszedł Orłowski, pierwszy wielkiej miary batalista polski. Przyjaźnił się z księciem Józefem, mieszkał w pałacu pod Blachą, a potem osiadł w Petersburgu i, tęskniąc do kraju, rysował żołnierzy polskich, konie, polonusów, pikiety, szarże, wzięcie Pragi.

Po epoce Stanisławowskiej przyszła klęska - potem Legiony - sen o chwale Napoleona - Księstwo Warszawskie i jego armia - Królestwo Kon-

gresowe - Powstanie Listopadowe - rok 48-y, wolność ludów - potem rok 63, żałoba narodowa - ciemny okres niewoli, żyjącej wspomnieniami,gdy sztuka spełniała swoje patriotyczne zadanie - wreszcie Legiony Wielkiej Wojny - Wolność - potem Rok 1920 - obrona Warszawy - okres Budowania - i znów tragedia wojny. Wszystkie te czasy znalazły swój wyraz w malarstwie.

W powstaniu 1831 roku brało udział wielu artystów, którzy potem, żyjąc na emigracji, malowali swoje wspomnienia. Do nich należy Suchodolski, malarz epopei Napoleońskiej, i Sypniewski. W pierwszej połowie XIX stulecia żołnierz polski wszędzie na świecie otoczony jest aureolą bohaterskości i stwarza mit dokoła siebie. Żołnierz-tułacz przyjmowany był we wszystkich krajach entuzjazstycznie. Niewłaściwy stosunek obcych rządów do powstania 31-go roku okupiony był ogromną popularnością żołnierza polskiego, którego ludy opiewały w drukach /w słynnych "Epinal'ach"/, w litografiach i kolorowych sztychach. Legendę księcia Józefa uwiecznili też tacy francuscy artyści jak Vernet, Debucourt, twórca eposu polskiego w sztycharstwie. Poza tem w sztuce francuskiej istnieją liczne portrety Sułkowskiego i różnych generałów polskich.

W Polsce po 31-ym roku ukazał się wielki artysta Piotr Michałowski, który malował genialnie swoje wspomnienia z powstania, pojedyńcze postacie żołnierzy, oficerów, epizody rycerskie i wspaniałe szkice do szarży pod Somo-Sierrą. Współczesny mu Juliusz Kossak, rozkochany w koniu, świetny akwarelista, maluje bitwy, hetmanów, ułanów. Dalej był romantyczny Artur Grottger, rysownik popowstaniowy, który zdobył taką popularność, że jego albumy - cykle patriotyczne "Polonia", "Lituania", "Warszawa" - znajdowały się w każdym domu polskim. Tak jak w literaturze polskiej Rzewuski, Kaczkowski, Kraszewski, Sienkiewicz - piszący "ku pokrzepieniu serc" - tak w malarstwie istnieli Kossak, Matejko, Brandt... Portrety naszych wojskowych malował wielki artysta, głęboki realista, współczesny Mickiewiczowi, Henryk Rodakowski. W drugiej połowie wieku byli też doskonali ilustratorzy, rysujący nasze wojsko, jak Pilatti, Kostrzewski, Andriolli.

U Matejki moment bitwy, zwycięstwo rycerza polskiego jest przedstawiony z taką siłą, jak u nikogo innego. Takie są "Grunwald", "Kościusz ko pod Racławicami", "Odsiecz Wiedeńska".

Batalistą w wielkim stylu jest Brandt, znakomity kolorysta, zostawił takie płótna jak "Wyjazd Jana III z Wilanowa", "Bitwa pod Chocimem", "Żółkiewski pod Cecorą", "Atak husarii pod Wiedniem".

Z ważniejszych jeszcze batalistów tej epoki wymienić należy Jana Rosena, Chełmińskiego - znanego specjalnie w Ameryce - i Moniuszkę,syna twórcy "Halki". Prawie każdy z malarzy polskich dotykał się tematów wojskowo-patriotycznych chociażby dorywczo. Nawet sławny Max Gieryński, pierwszy z naszych impresjonistów - namalował "Pikietę powstańczą". Piosence ułańskiej poświęcili się tacy bataliści, jak Józef Ryszkiewicz, a po nim, Wojciech Kossak, syn Juliusza, który nie przestaje malować i w roku 1920, upamiętniając ówczesne wojsko.

Legenda Legionów Piłsudskiego grupowała też dokoła siebie szereg malarzy: Rzecki, Ryszkiewicz /syn/, Pruszkowski, Rozwadowski. Najlepszy był jednak Leopold Gottlieb, którego świetne szkice z natury "legionowe" znajdowały się w Muzeum Wojny Światowej w Vincennes /Paryż/.

W wolnej Polsce powstał portret wojskowy. I tak portret Piłsudskiego, pędzla Krzyżanowskiego, jedyny do którego Piłsudski pozował, portret Wieniawy - Pruszkowskiego, portrety Hallera - Kossaka,szereg portretów pędzla Borucińskiego, Grabowskiego i innych.

Rysunek obyczajowy, rodzaj karykatury, stworzyli u nas,często

poruszając tematy wojskowe, Feliks Topolski, Czermański, który rysował także Legiony Piłsudskiego, i Daszewski. Oddzielne miejsce należy się miniaturze, wskrzeszonej przez Artura Szyka, który wraca do przeszłości, malując historyczne postacie w walce o wolność Ameryki.

Z młodych batalistów, poświęcających się chętnie tematom historycznym, na wyróżnienie zasługują Wdowiszewski, uczeń Pruszkowskiego, i Michał Bylina, potomek Michałowskiego, świetny rysownik koni, malarz olejny wybitnie zdolny, który zginął tej wojny.

Armia Sikorskiego też ma swoich kronikarzy w malarstwie. Oprócz Szyka, który namalował portret gen. Sikorskiego, istnieją karykaturzyści, rysownicy, ilustratorzy wojny obecnej, jak Feliks Topolski w Anglii, Walentynowicz w Kanadzie.

Dzieje sztuki, poświęconej obecnej wojnie, są nam jeszcze nieznane, być może, że w wolnej Polsce znajdzie ona swój wyraz w kompozycjach na miarę Matejki zakrojonych.

Irena Lorentowicz

Kolorowa legenda i piękniejsza prawda.

Gdy ze wspomnień wyczarowujemy obrazy wojska polskiego, które kiedyś w młodości obdarzały nas niezapomnianym dreszczem czarownych tęsknot i snów, czujemy nie bez smętku, że świat ten kolorowy i pełen romantycznych uroków spływa w coraz odleglejszą przyszłość. Jest tylko wspomnieniem historycznym, które wprawdzie pozostanie drogą własnością, ale nie ma już tej żywej władzy nad porywami młodzieńca. Od pochodu wspaniałego rycerstwa, od uskrzydlonych usarzy, mknących w poszumie i srebrzystych połyskach, od kolorowych ułanów i szalonych szwoleżerów, od podchorążych powstania listopadowego i leśnych strzelców 63-go roku, których widzimy zawsze w heroicznej postawie, przekazanej nam w upajającym nurcie naszej poezji i w batalistycznych opisach powieściopisarzy i w natchnionych wizjach naszych malarzy historycznych - dzieli nas nie tylko ogrom dziejowych wydarzeń, lecz przedewszystkiem inny zgoła uczuciowy stosunek do żołnierza i walki o niepodległość, zapewne dojrzalszy i bardziej życiowy. Kochamy ich animusz, ich szalony impet, junacką fantazję, nieugiętą dumę, nieposzlakowaną rycerskość i wzgardę śmierci, bo w nich ucieleśniły się najszczytniejsze cnoty narodu: głód heroizmu i niepokonana miłość niepodległości jako rzeczy, co jest ponad życiem i śmiercią człowieka. Te najistotniejsze cechy zostały wcielone w wyobraźni narodu w symbol wyidealizowany. Widzieliśmy je w oszałamiającej szarży, w błyskawicach karabeli lub szabli, a jeżeli w śmierci żołnierza na polu bitwy, to śmierć ta była zawsze piękna i pełna poezji. Tych jasnych rycerzy nie imał się pot, znużenie i potworny wysiłek pochodów; ich barwnych wyłogów nie kalało błoto, nie zszargał deszcz, nie wypłowiała prażąca ulewa słońca. Odpychaliśmy od siebie to wszystko, co jest najbliższe i codzienne w doli żołnierza, co wymagało hartu i wytrwania i zawziętości niebywałej, co było nieprzerwanie doświadczaną próbą męskości i charakteru - byleby w czystej postaci wielbić owe najszczytniejsze cnoty rycerza.

Nasza miłość do dzisiejszego wojska polskiego jest więcej złożona. Jest napewno dojrzalsza, rzetelniejsza i o wiele głębsza. Przedewszystkiem zaś dogłębnie życiowa. Wprawdzie nadal widzimy w naszym

żołnierzu wcielenie cnót rycerskich, ale ten obraz niewątpliwie jest pozbawiony romantycznego koturnu, jakiegoś akcentu fałszywego. I nie dlatego, że stoimy tak blisko odgrywających się wypadków, lecz dlatego, że nasze pojęcie o bohaterstwie się pogłębiło, że przybrało kształty uczłowieczone - mamy pełną świadomość, czem jest życie i dola dzisiejszego szarego żołnierza polskiego. Nauczyliśmy się, że najzwyklejszy splot wypadków życiowych, nieubłaganych w straszliwej prostocie logicznego następstwa, mogą czynić z człowieka tchórza lub bohatera. A jest to wtedy bohaterstwo, które, właśnie że jest tak prawdziwe i naturalnie życiowe, przewyższa pięknością wszystko, co zdołała stworzyć wyobraźnia poety.

Cóż może być bardziej cudownego, niż postanowienie syna chłopskiego, który po zaleczeniu rany w szpitalu i po straszliwych trudach kampanii wrześniowej, nie myśli wrócić do zagrody rodzinnej, gdzie czekałoby go względnie spokojne życie, lecz wymyka się nocą, kulejąc jeszcze, wędruje o chłodzie i głodzie przez góry, granice i morza, by wreszcie obdarty, okaleczony dotrzeć do wojska w Afryce lub w Szkocji? Teraz jak karny żołnierz, czyści pilnie swój karabin, spełnia codzienne obowiązki z dokładnością fachowca. Kiedy go zapytać o jego przeżycia, zobaczymy w jego oczach filuterny triumf, że zdołał okpić szwaba i dotrzeć do swoich. Wobec prostoty i naturalności tego szlachetnego musu wewnętrznego, którego nazwy on nawet nie zna, muszą zczeznąć wszelakie górnolotne określenia o bohaterstwie i wyrzeczeniu. W tym prostym bowiem żołnierzu i dziecku ludu ujawniło się zdumiewające misterium zawziętego przywiązania do ojczyzny, misterium niepokonanej, nieuległej rasy.

Jeżeli tysiące żołnierzy polskich zdołało przedostać się do nowo formującej się armii polskiej, przekradając się przez liczne granice, nietylko jest znakiem potężnego ukochania sprawy polskiej i bezprzykładnego uporu, lecz przedewszystkiem niebywałego sprytu oraz żywej inteligencji i przemyślności. Pod tym względem polski żołnierz, tułacz górował wszędzie, kędy musiał się przedzierać, górował pełnym humoru junackością szybkością orientacji, przedsiębiorczością i awanturniczością w najlepszym sensie. Była to niewątpliwie rewelacja niesłychana, która nietylko pogłębia naszą wiarę w przyszłość narodu, lecz pozwoli nam spodziewać się w budowie naszej cywilizacji zdobyczy niepoślednich.

Wielkość żołnierza polskiego uwydatnia się przedewszystkiem w drobiazgowości i skrupulatności jego służby. W tej zawziętej, niczem niezakłóconej, zawodowej sumienności w wykonywaniu codziennych obowiązków jest coś złowieszczego dla wroga i budzącego najwyższy respekt. Tę zbiorową, męską równowagę i zimną krew, tę żelazną konsekwencję oddziałów poznali Niemcy szczególnie we Francji. Wśród chaosu odwrotu oddziały polskie cofały się karnie i planowo, odgryzając się wrogowi z zaciekłością. W Tobruku wojska polskie, zajmując pozycje naprzeciw Niemcom, gdzie inne sojusznicze jednostki wytrzymywały zaledwie kilka dni z powodu koncentracji potężnego ognia artyleryjskiego, pozostały tam przeszło siedemdziesiąt dni, ponieważ cierpliwym, konsekwentnym i nadludzkim mozołem wykuły w skale głębokie schrony. Był to wysiłek, wymagający zimnego uporu i prawdziwej polskiej chłopskiej krzepkości. A jednak, gdy przychodzi chwila działania, żaden inny żołnierz nie wykazuje tyle niewstrzymanego impetu i ognia w natarciu. W tym skrupulatnym, drobiazgowym żołnierzu zawodowym budzą się naraz jakby wszystkie wspomnienia historycznych szarż naszego rycerstwa.

Żołnierz polski walczy dziś na wszystkich niemal kontynentach. Jednym z najbardziej zdumiewających zjawisk jest to, że szeregi jego nie topnieją, lecz rosną zawrotnie. Dziś już armia polska liczy około

200 tysięcy żołnierzy. W tym wzrastaniu polskiej siły zbrojnej, która zjawia się jakby za sprawą czarów wszędzie tam, gdzie jest wróg, by zadawać mu potężne ciosy - jest wymowny wyraz niespożytego ducha polskiego i wiary w ostateczne zwycięstwo, mimo chwilowych niepowodzeń. Żołnierz polski jest dla nas symbolem tej niepokonanej wiary w przyszłość naszej sprawy. Dlatego otaczamy go miłością.

Ale nie tylko z tych powodów. Poza cnotami rycerskimi, które takim blaskiem zabłysły w potrzebie wojennej, żołnierz polski ze swymi zaletami charakteru stał się niejako ideałem obywatela, oczyszczonego ze wszelkich przywar i słabości, które tak utrudniają nasze życie społeczno państwowe. W wojsku polskim, w osobie tego prostego żołnierza, który pracuje w trudzie i walczy bezinteresownie dla sprawy polskiej, poddając się zbiorowej karności i nie unikając codziennego szarego mozołu, nastąpiła niejako sublimacja typu Polaka w najlepszym sensie, tego Polaka, który po wojnie stanowić będzie element dodatni w odbudowie kraju i organizacji naszego życia społecznego. Gazetki obozowe i pamiętniki świadczą, jak głąbokie uświadomienie wypracował sobie żołnierz polski w sprawach społeczno-państwowych. Pozostawiając rodzinę najbliższą na los niewiadomy, tułając się po świecie, znosząc najcięższe trudy wojenne, zawsze gotowy oddać życie - żołnierz polski ma przed oczyma nietylko wolną ojczyznę, lecz marzy o urządzeniu jej w ten sposób, by przyniosła szczęście i pomyślność wszystkim Polakom bez różnicy. Dlatego jest nietylko bojownikiem o niepodległość Polski, lecz pozatem nosicielem idei, wyrazicielem najszlachetniejszych pragnień społecznych naszego doświadczonego w cierpieniach pokolenia.

Zenon Kosidowski

Numer niniejszy ma objętość poczwórną.
Następny numer /36/ ukaże się z datą 3 września.
